

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 21 (1705) 26 maja – 1 czerwca 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



ISSN 0867-2237 INDEKS 367125



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

TYDZIEŃ Z GŁOWY

▶ Ponoć Rosja zdobyła Bachmut albo i nie. Strony konfliktu nie ustaliły jeszcze obowiązującej wersji. Według specjalistów wojskowych była to najkrwawsza bitwa od czasów II wojny światowej. Jaramy się nieludsko, bo ludzko nie potrafimy...

▶ Rosjanie zaczęli odbijać Rosję Rosji... Jest to pierwszy czeski film w historii rosyjskiej kinematografii.

▶ Turecki ultranacjonalista i trzeci na podium w I turze wyborów prezydenckich Sinan Oğan zaapelował do swoich wyborców, aby 28 maja przekazali „jego” głosy na Receptę Tayyipa Erdoğan.

▶ Jak dotąd rozmowy pomiędzy demokratami i republikanami dotyczące podniesienia przez Kongres Stanów Zjednoczonych limitu zadłużenia utknęły w martwym punkcie. Jeśli nic się nie zmieni, to hajs rządowi skończy się 1 czerwca. Cóż to będzie za Dzień Dziecka!

▶ Sytuacja w kraju nad Wisłą również była dynamiczna.

▶ W najnowszych sondażach parlamentarnych parka Kosiniak-Kamysz – Hołownia urosła na trzecią siłą. Jest tak źle z PiS-em czy z pszenicą w silosach?

▶ „Oskarżonego Janusza Palikota uznaje się za winnego i wymierza karę 80 tys. zł grzywny. Jakuba Wojewódzkiego uznaje się za winnego i wymierza mu karę 70 tys. zł grzywny. Tomasza Czechowskiego uznaje się za winnego i wymierza mu karę 70 tys. zł grzywny. (...) Sąd nie miał wątpliwości, że złamali ustawę o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi” – zawyrokował warszawski sąd. Palikot w mediach społecznościowych oznajmił, że nic nie wie. Uspokajamy: to nie zerwany film, tylko polskie prawo.

▶ Członkini Polityki Rady Pieniężnej ekonomistka prof. Joanna Tyrowicz pożałowała, że Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego, ciągle krzyczy na posiedzeniach. Kotka mu kupcie. Kotki łagodzą obyczaje – spojrzcie na Jarosława K.

▶ Sasin obiecał, że będzie nadal osłaniał nas i naszą energię. To bardzo dobrze, bo Janusz Jankowiak, główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu, krzyczy, że wskutek planowanych transferów socjalnych PiS w latach 2022–2025 powinniśmy szykować się na tzw. cios inflacyjny. Może przyjechać i 48 proc....

▶ Premier Morawiecki dopiero co odtrącił sukces programu o złowieszczej nazwie „Maluch+”. Tymczasem samorządy informują, że z braku gotówki od rządu część dzieciarni zobaczy miejsca w żłobkach jak świnię niebo.

▶ Konfa opowiada się za zakazem wstępu organizacjom ratującym zwierzęta na teren gospodarstw rolnych. Bosak powiedział, że mamy do czynienia z „ofensywą ideologicznych organizacji, często lewicowych, które zwalczają hodowlę zwierząt pod pretekstem troski”. Bosak nie chciałby zapewne być traktowany jak wiejskie psy i konie. A może by chciał?

▶ „Słusznie Jarosław Kaczyński podczas wystąpienia na ostatniej konwencji po prostu machnął ręką na agresję Donalda Tuska. Niech zostanie sam z tą nienawiścią. Naszą odpowiedzią powinna być i będzie postawa odwrotna: skupienie na pozytywnym programie, duma z tego, co udało się zrobić, uczciwa rozmowa z Polakami” – powiedziała marszałica Witek dziennikarzom w „Sieci”. Oto narodziła się nowa królowa ludzkich serc, szczególnie tych z OIOM-ów, trzepoczących na kabelkach.

▶ W piątek 26 maja – Dzień Matki. Śpieszmy się chronić ginące gatunki.



Z URNY URBANA

25 maja minęło dziewięć lat od śmierci gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Przypominamy felieton Urbana z grudnia 1992 r., z czasów, kiedy ówczesna prawica (głównie Konfederacja Polski Niepodległej) próbowała ścigać Generała za Grudzień '81.

Jeniec Solidarności

Wojciech Jaruzelski jest generałem, który przegrał walkę, jakiej częścią był stan wojenny, podpisał zawieszenie broni i oddał się przeciwnikom w niewolę na warunkach honorowych. Złamano je oczywiście. Postawiono Generała przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej za stan wojenny.

Po pójściu do niewoli gen. Jaruzelski publicznie mówił, że mylił się, uważając swych przeciwników za szkodliwych dla kraju drani. No, rzeczywiście, mylił się, ale niezupełnie, mniej, niż sądzi. Oskarżenie Generała przywraca Jego (i naszej) walce z dawną opozycją przynajmniej rację moralną.

Wzięty do niewoli gen. Jaruzelski był jeńcem politycznie aktywnym. Jako prezydent RP kolaborował ze zwycięzcami. Czytał tak w imię ułatwienia pokojowej przemiany ustroju, stopniowego przejmowania władzy bez konfliktów.

Osią oskarżeń o stan wojenny jest ostatnio twierdzenie, że Związek Radziecki w ogóle nie miał zamiaru w Polsce urządzić interwencji militarnej. Oskarżyciele powołują się na mnożące się, od niedawna ogłaszane opinie tego rodzaju niektórych

wpływowych Rosjan. Sądzę, że w 1981 roku dosyć było wewnętrznych racji, żeby działalność Solidarności przerwać. Wystarczyło to, że przeciwdziałaliśmy narastającej możliwości wybuchu czegoś na wzór powstania warszawskiego z 1944 roku, które było własnoręczną (w odróżnieniu od Katynia) zbrodnią przeciw narodowi polskiemu. Nikt nie wie, czy bez stanu wojennego wojska radzieckie weszłyby w 1981 roku do Polski (gdzie zresztą były). Sam Breżniew, gdyby żył, nie mógłby tego dziś przesądzić. Po prostu dopóki rozkaz interwencji nie jest wydany, trwa rachowanie kosztów i zysków z takiej operacji. Istotne dla oceny decyzji gen. Jaruzelskiego jest coś innego: czy miał prawo u progu zimy 1981 roku brać poważnie możliwość interwencji? Dowody na to, że tak, są dostatecznie liczne i mocne.

Generał Jaruzelski jest sądzony nie dlatego, że w 1981 roku wprowadził stan wojenny, tylko dlatego, że z badań przeprowadzonych w 1992 roku wynika, iż połowa dorosłych Polaków darzy go szacunkiem i sympatią. I dlatego, że przyjmują go panowie: papież katolicki i prezydent francuski.

Mimo rozplenionej w Polsce i w Europie sympatii do Generała jego proces przed komisją sejmową w ogóle nikogo nie ob-

chodzi poza ekskluzywnym gronem oskarżycieli i równie szczupłym – byłych współpracowników. Odwet za stan wojenny nie ma w Polsce wzięcia, ponieważ w dzisiejszej świadomości społecznej nie jest on tkwiącą zadrą. Większość uważa, że ten stan był konieczny, ogromna mniejszość, że zbędny, ale minimalna liczba ludzi zachowała go w pamięci jako przeżycie dramatyczne. Sympatyzująca z Jaruzelskim większość nie jest też wstrząśnięta obecnymi przejściami Generała, gdyż wyczuwa, że w wyniku tego babrania się w przeszłości bylemu prezydentowi RP nic nie grozi. Jaruzelski na tym ciągnięciu go przed komisję tylko zyskuje politycznie i moralnie.

Nie powiódł się polityczny zamiar odwrócenia uwagi społeczeństwa od jego dzisiejszych utrapień przez skupienie emocji na odwiecie za Grudzień '81. Tak więc oskarżenie o stan wojenny stanowi jedną z tych gier i zabaw obecnego reżimu, która pasjonuje wąskie grono grających, dając świadectwo rosnącego wyobcowania elity rządzącej. Dowodzi osłabienia jej słuchu, wzroku i smaku. Świadczy też o rosnącym lęku przed przyszłą przewagą wyborczą lewicy.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

■ **Joanna Przetakiewicz** wyznała, że aby mieć piękne długie włosy, należy jeść trzy daktyle dziennie. Jest to skuteczna metoda na wzmocnienie włosów szczególnie wokół odcyłu.

■ Rosja uznała organizację **Greenpeace** za niepożądaną. Brzmi to jak mokry sen polskiej prawnicy.

■ Premier **Mateusz Morawiecki** zapowiedział budowę nowych żłobków. Proponowana nazwa programu: Od żłobka do żłobka.

■ Warszawski sąd skazał **Palikota i Wojewódzkiego** za reklamowanie alkoholu. Panowie będą musieli teraz tyknąć karniaka.

■ **Ryszard Czarnecki** powiedział, że jak widzi Donalda Tuska, to widzi Ryszarda Ochódzkiego, prezesa klubu Tęcza. Wtedy, kiedy Tusk był Murzynem i grał w kosza.

■ Portal PCH24 informuje, że katolik może popierać **karę śmierci**. Czyżby do piątego przykazania było coś dopisane drobnym drukiem?

MARTA M.

Wolicie Ziobrę czy Morawieckiego?

Facebook

Anna Szałapska-Kowalik: Równie dobrze moglibyście spytać, czy wolimy dostać kijem przez plecy, czy obuchem po łbie. Jest jakaś trzecia opcja?

Jakub Stanlik: Wybór między krzywoustym miększonem a magistrem prawa z osiągnięciami równymi zeru... Jeden unijne pieniądze obiecuje, drugi ich nie chce, a ostatecznie i tak ZIOBRO dostaniemy jako obywateli.

Maciej Dadej: Prezesa, jest najbliższe mety.

Andrzej Bazylczuk: To zależy. Jeśli pytacie, którego wolę do kierowania państwem, to żadnego. Natomiast jeśli do pomocy w myciu okien, to też żadnego. Nie chcę, żeby mi się taki podejrzany element po domu kręcił.

Gaw Dzik: A tygodnik „NIE” woli nie być na półkach czy nie być na półkach?

Mike Angelo: Obydwa to fajne chłopaki. Są w tym kraju tak potrzebni jak tryper na dzień przed ślubem.

Szymon Caputa: Wybór z serii: wolisz piwo bezalkoholowe czy ciepłe...

Rafał Szafran: Żeby zamknęli, czy o co chodzi? Jeśli o to, to wszystkich.

Eugeniusz Rezman: Zero czy dwa zera?

Mateusz Chmura: Morawieckiego. Ten chce tylko mojej kasy, a nie wolności.

Marcin Kołodziej: Ja wolę trzecią, czwartą albo nawet piątą drogę!

Maciej Dadej: Wolę czyraka na jajku.

Rafał Wiśniewski: „Panie kapitanie, taka sytuacja – gdyby Pan miał do wyboru wypić kubeczek moczu czy zjeść widelczyk gówna?”.

Forum

Ośka QqRydz-Qqć: My wolelibyśmy mutantą Ziobrowieckiego. To byłaby dopiero figura na miarę naszych możliwości.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka

LISTONOSZ DONIOŚ

Pamięć narodowa

Na opadającej już fali dyskusji o Holokaucie z okazji 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim i po wypowiedziach pisowskich polityków o heroizmie chrześcijańskiego polskiego narodu w ratowaniu Żydów nie mogłem oprzeć się pewnemu skojarzeniu. Przypomniałem sobie wypowiedź Helmuta Newtona – Żyda urodzonego w Berlinie – genialnego fotografa, który w dokumentalnym filmie o swoim życiu wypowiada dość znamiennie zdanie: „Lata 30. w Niemczech to były dziwne czasy – 60 mln Niemców przechowywało w piwnicach prześladowanych i ściganych Żydów”.

Tak to jest z pamięcią narodową.

Mirosław F., Wrocław

Laurka dla PiS z okazji Dnia Matki i 800+.

Bezdziętne lambadziary

To, że Polska wymiera, wiadomo nie od dzisiaj. Z zeszłorocznego badania CBOS-u wynika, że aż 68 proc. Polek w wieku 18–45 lat nie planuje dzieci. Tak negatywne podejście kobiet do macierzyństwa przerosło wszelkie oczekiwania i zszokowało opinię publiczną. Z dobrych wiadomości: w tych 68 proc. policzone były też takie, które już potomka mają i nie planują kolejnego. Ze złych – aż 42 proc. kobiet bezdzietnych chce taki stan utrzymać. W ciągu pięciu lat ich liczba wzrosła więc dwukrotnie. Tak czy siak, nie jest dobrze. Jest nawet bardzo źle.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2022 r. współczynnik przyrostu naturalnego w naszym kraju wyniósł zawrotne minus 3,8 promila. W zeszłym roku urodziło się najmniej dzieci od czasu II wojny światowej. W zatrzymaniu umierania naszego narodu nie pomogło 500+ ani – co mało zaskakujące – wprowadzanie przez Zjednoczoną Prawicę do spółki z Ordo Iuris metod pożyczonych wprost od Nikolae Ceaușescu. Nad przyczynami tej antynatalistycznej postawy wśród płci pięknej głowią się tegie i mniej tegie umysły. Każda kolejna debata na ten temat wnosi mniej więcej tyle, ile poprzednia, czyli niewiele. Jedyne, co wiadomo, to że problem jest złożony. Kim są bezdzietne Polki i dlaczego skala zjawiska rośnie?

Niebezpiecznie i niekomfortowo

Według badaczy jako drugą najczęstszą przyczynę niechęci do rozmnażania się kobiety podawały możliwość wystąpienia poważnych wad płodu. Nikt normalny nie chce dowiedzieć się, że urodzi potworka z dwoma głowami. Nikt nie chce umrzeć w szpitalu, jak Izabela z Pszczyny. Eksperci donoszą, że liczba urodzeń po wyroku TK całkowicie zakazującym aborcję spadła. Logiczne.

Jako pierwszy powód podawano natomiast brak stabilizacji materialnej i pomocy instytucjonalnej. Największą niechęcią do posiadania dzieci nie wykazują się już wykształcone kobiety z dużych miast, które wolą karierę zawodową w korporacji zamiast dziecka, lecz te z mniejszych, które boją się utraty pracy po urlopie macierzyńskim. Postulowane przez Lewicę budowanie żłobków w każdej gminie wydaje się więc trafnym lekiem na zmniejszającą się populację.

Do braku stabilizacji materialnej zalicza się także gówniana sytuacja mieszkaniowa w Polsce. Wychowywanie ósemki dzieci w jednoizbowej chacie bielonej wapnem nie bez powodu wyszło z mody. Ze względu na wysokie ceny najmu wzrasta liczba młodych osób, które mogą wynająć jedynie pokój albo mieszkają kątem u rodziców. Dziecko w wynajmowanej za połowę pensji kawalerce, czyli takiej jednoizbowej chacie XXI wieku, jest pomysłem mało atrakcyjnym. Aby myśleć o potomstwie, kobieta musi najpierw czuć się bezpieczna, mieć co jeść i gdzie spać.

Kolejną kwestią jest nastawienie tak zwanych landlordów do wynajmowania swoich cennych inwestycji mieszkaniowych rodzinom z dziećmi. Większość osób unika tego jak ognia. Wiadomo bowiem, że jak już ktoś w ciąży lub z dzieckiem wprowadzi się do mieszkania, to zaraz przestanie płacić czynsz i zostanie w nim na amen. Boże broń przed samotnymi matkami!

Dyktatura szalejącego kapitalizmu

W opanowanej przez Januszów i Mentzenów biznesu neoliberalnej Polsce zredukowany do podmiotu na rynku pracy człowiek ma zapierać się, i to najlepiej na umowie śmieciowej, nigdy nie chorować, nie brać wolnego, być pod telefonem oraz mailem przez 24 godziny na dobę. Najgorsze, co może spotkać pracodawcę, to ciąża pracownicy.

Nie bez powodu nową formą mitu miejskiego są krążące po sieci opowieści o kobietach chcących wykiwać swojego pracodawcę i zaraz po podpisaniu umowy o pracę zająć w ciąży, iść na L4, a potem na urlop macierzyński. Niewykluczone, że opowieści te pisane są przez Pracodawców RP lub innych fanów Balcerowicza.

Wiek, w którym kobiety decydują się na dzieci, zdecydowanie się przesunął. Współczynnik kobiet rodzących w wieku 20–24 lata, według danych US

Census Bureau spadł o 43 proc., a tych rodzących pierwsze dziecko w wieku 35–39 lat wzrósł o 67 proc. Średnia unijska to około 30 lat.

Aby zdecydować się na dziecko, dobrze jest mieć sensownego partnera, a w dzisiejszych czasach o to równie trudno jak o odpowiednio duże mieszkanie i normalnego szefa.

Wraz z wiekiem ludzie stają się bardziej wybredni i wymagający. Z jednej strony tego kwiatu jest pół świata, zawsze więc może znaleźć się ktoś lepszy, a z drugiej – wybór jest ograniczony. Wystarczy wspomnieć, że 37 proc. młodych mężczyzn w wieku 18–39 lat chce głosić na Konfederację. W puli zostaje więc tylko 63 proc. polskich facetów, wśród których też nie jest łatwo trafić na kogoś normalnego. Czekają tam przyszli alimenciarze, faceci, którzy nie chcą się wiązać na stałe, poliamoryści i różnego rodzaju odszczepieńcy. Najlepsi są zawsze zajęci. Zanim pomyśli się o dziecku, wypadaloby się bez pamięci zakochać, a nie ma w kim. Liczba singli

w Polsce rośnie. To już co trzecia dorosła osoba. Najwięcej jest tych po trzydziestce.

Bezkidki

W internecie aż roi się od artykułów utrzymujących w tonie „wolę mieć kota niż dziecko”. Samotne kobiety po trzydziestce to już nie bezdzietne stare panny, a singielki lub – jak same o sobie żartobliwie mówią – bezdzietne lambadziary. Kobiety zaczęto traktować jak ludzi, a ich jedyną życiową misją przestało być macierzyństwo. Współczesna kobieta to taka, której do szczęścia wystarczy dobra praca, pasja i kot albo pies. Powstało nawet nowe, teoretycznie nienacechowane negatywnie, jednak wyjątkowo głupio brzmiące określenie bezkidka. Bezkidką jest chociażby szczęśliwie zamężna Ewa Chodakowska czy również będąca w związku córka naszego byłego prezydenta Ola Kwaśniewska.

Z drugiej strony trudno oprzeć się wrażeniu, że może to być forma postawy obronnej. Samotna lambadziara z kotem, która nie chce mieć dzieci, łatwiej wynajmie mieszkanie i znajdzie pracę. Prócz narracji o byciu fajną bezdzietną singielką w mediach głównego nurtu jak grzyby po deszczu mnożą się artykuły o kobietach, które żalują macierzyństwa. Dzieci mają dzisiaj wyjątkowo zły piar. Nikt nie chce ich na weselu, bo wiadomo – zepsują zabawę. Dzieci drą mordy w samolotach, pociągach, restauracjach, hotelach, mieszkaniu za ścianą i pod blokiem. Są hodowane, a nie wychowywane.

Te nastroje mają depresję i problemy z tożsamością. Matki natomiast to żyjące z zasklików „madki”, którym wszystko się należy, które idą na L4 zaraz po zająciu w ciąży i nie chcą wyprowadzić się z wynajętego mieszkania.

Przesrane

Jako bezdzietnej kobiecie po trzydziestce trudno mi odpowiedzieć na pytanie, kim jesteśmy. Nie jesteśmy brzydkie, pokraczne, a pod ubraniem nie ukrywamy łusek. Nie śmierdziemy, nie wszystkie mamy borderline i zbyt obfite owłosienie na twarzy. Jesteśmy w większości normalnymi ludźmi. I tyle. Trudno stwierdzić, czy bycie bezdzietną to wybór faktycznie świadomy, czy podświadomie narzucony przez społeczeństwo i neoliberalną narrację. Chociaż nie

ZAGWARANTUJEMY
POLAKOM
ŚWIETLANĄ
PRZESZŁOŚĆ!



Rysunki TOMASZ WATIER

jest tak w moim przypadku – bardziej przychyliam się do tej drugiej opcji.

Wiadomo jedno:

póki kobiety będą żyły ze świadomością, że zającie w ciążę to w Polsce gra w rosyjską ruletkę ze sobą w roli głównej, a dziecko to skaranie boskie, nic się nie zmieni.

Tymczasem moje ciało, moje życie, moja sprawa, mój wybór.

Ostatnio o to, kiedy moja mama zostanie babcią, wypytwałam mnie sąsiad, z którym łączy mnie jedynie to, że mówiłam mu zawsze „dzień dobry”. Powiedział wprost, że wkrótce będę za starą, i z okazji urodzin życzył mi zajścia w ciążę najdalej w przyszłym roku. Czy to nie upokarzające?

Podsumowując: odpierdolta się zarówno od bezdzietnych lambadziar, czy to z obsesją na punkcie kotów, czy bez, jak i od młodych matek. Jedne i drugie mają w tym zacofanym kraju podobnie przesrane.

Koncząc, dodam, że jedynym zauważalnym efektem pisowskiej polityki prorodzinnej jest to, że Polki nie chcą rodzić.

MAGDALENA RZEJAK

PIERWSZE EFEKTY
800+



Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Obudzona przyroda **wybuchła obfitością zieleni i kwiatów**. Cała ziemia wydaje się odświeżona i odnowiona. Przejrzystość powietrza i coraz dłuższe dni powodują, że świat od rana do późnego wieczora wypełniony jest światłem. Odrodzonemu życiu przyrody wtórnie liturgia. Przeżywamy wydarzenia zmartwychwstania Chrystusa, wniebowstąpienia, zstąpienia Ducha Świętego. Są Pierwsze Komunie św., trwają nabożeństwa majowe. Błyszczą harmonia stworzenia i odkupienia. Przyroda obiecuje owocowanie, a liturgia wiedzę ku wspaniałościom życia wiecznego. A jednak obserwujemy **zgrzyt w tej symfonii**. Współbrzmieniu natury i liturgii przestało odpowiadać serce człowieka zachodniego. Nie ma w nim rezonansu nadziei i miłości. Jego brak wydaje się dziś najbardziej deficytowym zasobem nie tylko naszego kraju, ale też całej cywilizacji.

■ Niektórym wszystko, co katolickie, już tak przeszkadza, że **walka z wiarą** staje się **niebezpieczną chorobą**.

ks. Daniel Wachowiak, Twitter, 23 maja

■ Kościół aż **do dnia paruzji** musi się zmagać ze światem ludzkiej wolności wrogię Bogu, w której **szatan** czuje się panem.

bp Wiesław Szlachetka, homilia, 18 maja

■ Na całym świecie dziwią się, że **Jan Paweł II**, który tak wiele dał Polsce, teraz tak wiele w Polsce doznaje zniewagi. Jakże potrzebna jest dziś solidarność ludzi dobrej woli, aby chronić dobre imię św. Jana Pawła II przed przewrotnym atakiem, przed kolejnym zamachem na tego wielkiego świadka wiary, który był prorokiem naszych czasów. Pierwszy zamach, ten z 1981 roku, nie udał się. Zorganizowali go ci, którzy usilnie próbowali zająć miejsce Boga w sercach ludzi. Dzisiaj ci, którzy wywołują się z tych samych korzeni, **chcą go po raz drugi zabić**. Tym razem za pomocą kłamstwa i oszczerstwa chcą mu zadać śmierć społeczną.

dalej Szlachetka

■ Nieustannie należy przypominać, że Jan Paweł II był nie tylko świętym człowiekiem, ale także nieustraszonej stał na straży rodziny! Nie kłaniał się środowiskom, które chciałyby zmusić Kościół do akceptacji rozmaitych dewiacji. (...) Warto więc przypomnieć, że Karol Wojtyła do przejawów cy-

wilizacji śmierci nie zaliczał wyłącznie zbrodniczych praktyk aborcji i eutanazji. Wśród przeciwników życia Jan Paweł II widział także wszystkich tych, którzy akceptowali i propagowali antyrodzinne rozwiązania – od **żyjących w konkubinacie** po promotorów homoseksualizmu.

Krzysztof Krawiec, PCh24.pl, 18 maja

■ Bogu niech będą dzięki, że jest **Radio Maryja**, że są katolickie media o światowym zasięgu, które bronią św. Jana Pawła II i krzewią jego myśl, promują chrześcijańskie wartości, budują cywilizację życia, pomagają Chrystusowi budować Jego Kościół. Są to media, które odznaczają się wysokim poziomem dziennikarskiego warsztatu, kulturą, poszanowaniem godności każdego człowieka, a co najważniejsze, są światłem prawdy w tym zmagającym się świecie. Radio Maryja i TV Trwam są **świąteczną szkołą patriotyzmu**.

Szlachetka



■ 800 plus jest takim fundamentem wsparcia finansowego państwa dla rodziny. (...) Znamy to sformułowanie Prymasa Tysiąclecia, że naród to rodzina rodzin. To jest prawda. Można by powiedzieć, że siła rodziny, jej rozwój jest fundamentem zarówno bezpieczeństwa militarnego, gospodarczego, jak i politycznego. (...) Pamiętajmy też o tym, że gdy **Platforma Obywatelska**, jej przywódca, atakują nas za to, że wspieramy rodzinę, to oni nawet dążą do tego, żeby rodzinę rozbić, zniszczyć i żeby **zdemoralizować dzieci**.

Antoni Macierewicz, TV Trwam, 19 maja

■ Dobrze, że **Dzień Matki** obchodzimy w maju – miesiącu poświęconym tradycyjnie Matce Bożej. Dzięki temu wskazujemy na odniesienie do Tej, która jest patronką i wzorem macierzyństwa. (...) Jeśli mamy przetrwać, to matka wychowująca **kolejne dziecko** nie może być przedstawiana jako nienowoczesna i życiowo nieporadna. W szeroko rozumianej kulturze, w mediach i urzędach trzeba natychmiast skończyć ze szkodliwym i niesprawiedliwym utożsamianiem wielodzietności z patologią.

ks. Henryk Zieliński, „Idziemy”, 18 maja

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Dzień bezpotomnej matki

PiS odbiera tysiącom Polek szansę urodzenia dziecka.

Gdy wygrało PiS i w rządzie pojawili się Beata Szydło i Konstanty Radziwiłł, było dużo o demografii. Na wzrost rozrodności Polaków przede wszystkim miały wpłynąć 500 plus oraz Narodowy Program Prokreacji. NPP zastąpił państwowe dofinansowania znienawidzonego przez Kościół in vitro.

Zapłodnione badaniem

Program sprowadzał się zaś do tego, do czego powinien już służyć wszystkie istniejące w tym czasie gabinety ginekologiczne – do dobrej diagnostyki. Zeby uspokoić przykościelnych aktywistów, Radziwiłł – ówczesny minister zdrowia – wcisnął im kit, że od teraz ruszy na pełną skalę umiłowana przez kler katolicki procedura zwana naprotechnologią. W świetle wiedzy naukowej i standardów WHO, a nawet samego Radziwiłła naprotechnologia nie ma wiele wspólnego z medycyną i jest postrzegana jako szarlataneria, a w najlepszym razie do niczego nieprowadząca seria wielomiesięcznych badań.

Fachowców nie zdziwiło więc, gdy w połowie 2018 r. okazało się, że z zaplanowanych prawie tysiąca par do programu załapało się zaledwie 107. Potem było tylko trochę lepiej. A że mało które z nich udało się zająć w ciąży...? Bóg tak chciał.

Przez pierwsze 2 lata działania programu, po wydaniu 30 mln zł, urodziło się ledwie 70 dzieci. Radziwiłł i jego twórcy, którzy posłali dziesiątki milionów złotych w błoto, powinni więc pójść się puknąć w czoło. Oczywiście nie poszli.

A przecież w łeb wzięło podstawowe założenie NPP. W programie zapisano, że skuteczność zachodzenia zakwalifikowanych par miała wynosić 30 proc. Tymczasem urodzonych 70 oseków dawało programowi ledwie siedmioprocentową skuteczność. W polskich klinikach przeprowadzających in vitro ciąży pojawiała się w tym czasie niemal w 40 proc. przypadków.

Ale to do polityków PiS nie docierało. Jedyny wniosek, jaki wyciągnęli, był taki, że żadne liczby już więcej światła dziennego nie ujrzały. Oficjalnie dlatego, że gdy Radziwiłł zastąpił Szumowski, to NPP przestał służyć rozrodności narodu. Zapisano, że „celem głównym »Programu kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce« jest zwiększenie dostępności do wysokiej jakości świad-

czeń z zakresu diagnostyki i leczenia niepłodności”. A skoro tak, to prowadzenie statystyk zachodzenia w ciążę i rodzenia dzieci w ramach programu jest bez sensu.

Co jednak najciekawsze, mimo zupełnego odejścia od założeń, Szumowski ani o złotówkę nie zmienił zaplanowanego na NPP w latach 2016–2020 budżetu. Na walkę z niepłodnością wydano więc w sumie niemal 100 mln zł.

Zapłodnione poza systemem

Mnóstwo z tej kasy upakowano w sztandarowej inwestycji, mającej zwiększyć pogłowie Polaków – Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Za miliony przygotowano tam oddział wyposażony jak żaden w kraju. Sama umowa na finansowanie świadczeń w tej wypasionej klinice w latach 2017–2018 opiewała na kwotę 1 mln 336 tys. zł. Kwotę wyliczono na podstawie szacunków dotyczących liczby planowanych badań i zabiegów. CZMP w Łodzi rozliczyło za ten okres świadczenia na kwotę... 340 tys. zł.

Mimo to szefostwo kliniki biegalo po mediach i opowiadało, że nie ma za co pracować, a po politykach – żeby dołożyli szmalu.

Dzięki temu w 2019 r. na leczenie niepłodności do Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki milion złotych trafił z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Łódzkiego, a dodatkowo „dzięki staraniom marszałka województwa i ścisłej współpracy z rządem” Ministerstwo Zdrowia przekazało na ten cel dalsze dwa mln złotych. W 2019 r. w CZMP do projektu leczenia niepłodności „przyjęto 402 pary, z czego w 38 przypadkach uzyskano ciążę”. Czterokrotnie mniej, niż gdyby zastosowano in vitro.

Na czele łódzkiej kliniki stał fachowiec – prof. Krzysztof Szaflik. O profesjonalizmie świadczy jego ówczesna wypowiedź, że jak „trafi do nas np. kobieta po operacji jajowodów, to wiadomo, że ona mimo naszego starania nie zajdzie w ciążę. To jest kandydatka idealna do in vitro, my o tym wiemy i o tym pacjentkę możemy poinformować”. Wyszło na to,

że PiS wydało miliony złotych, żeby kwalifikować pacjentów do prywatnych klinik oferujących zapłodnienie pozaustrojowe.

Ministra Szumowskiego już dawno nie ma. Jest Adam Niedzielski – ponoć technokrata. Jest też oczywiście „Rządowy program kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce na lata 2021–2023”. Równie oczywiste jest, że i teraz żadna kasa nie pójdzie na in vitro.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niepłodność jest klasyfikowana przez WHO jako choroba cywilizacyjna. Szacuje się, że w Polsce niepłodność dotyka ok. 1,5 mln par. Średnia skuteczność metody in vitro w ramach finansowania z płat- formianego Narodowego Programu Leczenia Niepłodności w latach 2013–2016 wyniosła ok. 35 proc. Od tej pory minęło parę lat i technologia poszła wolno do przodu. Ceny in vitro w klinikach dzięki temu nie skoczyły. Może i dlatego, że już kilkadziesiąt samorządów w Polsce finansuje obywatelom zapłodnienie pozaustrojowe. W Łodzi miejski program in vitro działa od 2016 roku. Miasto wydało 6 mln zł. Przez 6 lat z dofinansowania skorzystało prawie 1200 par. A urodziło się 427 maluchów, w tym 18 par bliźniąt. Jeden maluch i jedna szczęśliwa matka za niecałe 15 tys. zł. Gdyby na refundację in vitro przeznaczono tylko 1 miliard, czyli połowę tego, co wpakowano w pre- kop Mierzei Wiślanej, to na tzw. sztuczne zapłodnienie załapałoby się 200 tys. kobiet, z których prawie 80 tys. mogłoby dostać kiedyś laurkę w Dzień Matki.

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Jak poinformował Jarosław Jaz, rzecznik prasowy prezydenta Świnoujścia, trzy koty i jeden pies zostały już pochowane na nowo otwartym cmentarzu dla zwierząt domowych przy ul. Karsiborskiej. Niech odpoczywają w pokoju. Cmentarz czynny jest od 8 do 18, a w soboty i niedziele do 16.

■ Dobrze się powodzi branży energetycznej. PGE w pierwszym kwartale raportuje 1,72 mld zł zysku, czyli 58 proc. więcej rok do roku. Tauron podał, że zarobił blisko miliard. O 10 proc. więcej. Zysk Energi szacowany jest na 1,57 mld zł, czyli w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego o 160 proc. wyższy. Według informacji ze wspomnianych spółek mniejsze były: produkcja, zużycie i sprzedaż energii. Zyski wypracowano na większych marżach. Coś wam się nie zgadza? Macie rację.

■ Obywatel Moldawii upił się ze szczęścia w Warszawie. Następnie znalazł kluczyki, które zgubił w trawie właściciel zaparkowanego w centrum, wartego 400 tys. zł porsche. I to był koniec dobrej passy. Moldawianin wsiadł do auta. Uruchomił je. Pomylił biegi. Jadąc tyłem do tyłu, potracił rowerzystę, łamiąc nieszczęśnikowi kość piszczelową i staw

skokowy lewej nogi. Następnie rozbił trzy zaparkowane samochody. 5 lat dyskomfortu fizycznego, emocjonalnego i bytowego grozi tak samo ofierze, jak i kierowcy.

■ Trzyletni chłopiec chodził, kuczał i zamykał okno, stojąc na zewnętrznym parapecie mieszkania na trzecim piętrze bloku w Kielcach. Matka dziecka poszła w tym czasie za potrzebą, co mogło mieć dalekosiężne skutki dla dalszego istnienia jej potomstwa. Choć początkowe rokowania były gorsze niż w przypadku choroby naczyniowo-więściowej i większości nowotworów, dalekosiężne skutki nie nastąpiły.

■ Podróżujących pasem autostrady S8 w kierunku Wrocławia zdziwił widok samochodu jadącego tym pasem w kierunku Warszawy. Zdziwiony był także mieszkaniec Rawy Mazowieckiej, lat 72, który zauważył, że wszyscy na pasie ruchu do Warszawy jadą w przeciwnym, niżby wskazywała logika, kierunku, do Wrocławia. Kierowca opła przejechał ponad 20 km, zanim rozstrzygnął: kto zwinął, ja czy świat? Kiedy już zrozumiał błąd, zjechał z trasy na pierwszym wjeździe. Nie byłoby nieszczęścia, gdyby nie konfidenci z wideorejestratorami, którzy powiadomili policję. Ta, kiedy już było po wszystkim, dopadła staruszka. Odebrała mu prawo jazdy i przywaliła mandat.

■ Rada miasta Krakowa 32 głosami za i pięcioma wstrzymującymi się uchwaliła zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych i w sklepach detalicznych. Prohibicja obowiązywać będzie od 1 lipca między północą a wpół do szóstej. Dążąc powoli w kierunku nieuniknionej katastrofy tury-

stycznej, radni mylnie skonstatowali, że Kraków jest piękny bez wódki nawet w nocy.

■ Natomiast jeżeli ktoś chciałby opuścić ogarnięty prohibicją Kraków, zapraszają Niemcy. Władze przygranicznych landów zachęcają Polaków do zmiany miejsca zamieszkania. Na przykład powiat Görlitz oferuje „pakiet powitalny”. Niemiecki magistrat płaci przez dwa pierwsze miesiące czynsz, trzymiesięczny bilet na transport publiczny, dopłaca do wynajmu roweru, opłaca dwie pierwsze noce w miejscowym hostelu oraz pokrywa koszty energii za pierwszy miesiąc.

■ Na placu Jana Pawła II w Wadowicach Interaktywne Centrum Pszczelarstwa Apilandia z Kleczy Dolnej zorganizowało obchody Światowego Dnia Pszczół. Były prelekcje, warsztaty wykonywania świec z wosku, degustacje miodów oraz słodczy z dodatkiem produktów pszczelich. Zadna z zaproszonych pszczoł nie przyleciała.

■ Naukowcy z Uniwersytetu Rzeszowskiego uważają, że opracowali innowacyjną metodę wytwarzania bionawozu z odpadów komunalnych, kompostu i dżdżownic kalifornijskich. Zapłacili sobie za to 230 tys. zł z grantu, jaki otrzymali od Podkarpackiego Centrum Innowacji. Informujemy naukowców z Rzeszowa, że ich wynalazek jest o jakieś 30 lat spóźniony. Mniej więcej tyle czasu produkuje się w Polsce różne odmiany bioluminu, co zapoczątkowane zostało raczej na pewno przez firmę Agrecol z Wieruszowa.

■ Warszawski radny Piotr Żbikowski, z ramienia PO, posiadający niepospolitą moc kontrolowania instynktu siłą woli, walczy



z Leninem. W przyziemiach Pałacu Kultury i Nauki u fasady Sali Kongresowej stoi socrealistyczna rzeźba młodzieńca z księgą w ręku, na której wyryte są trzy nazwiska: „Marx – Engels – Lenin”. Radny Żbikowski domaga się usunięcia tego „Lenina” tak szybko, jak to jest możliwe. Wysłał już pismo do Trzaskowskiego, stołecznego konserwatora zabytków oraz dyrektora pałacu. Gdyby chodziło o nas, zgodzilibyśmy się od razu pod warunkiem, że Żbikowski usuwać będzie własnoręcznie lub za własne pieniądze.

■ Informacja ta nie wydała się nam ważna i w ogóle byśmy ją zignorowali, gdyby nie była zaczerpnięta z portalu Sadeczanin.info z Nowego Sącza. Oni w Nowym Sączu byli wstrząśnięci, zdziwieni i zaintrygowani tym, że w Gdańsku dla bezpieczeństwa żab

zamknięto fragment ul. Michałowskiego w dzielnicy VII Dwór. Gówno to kogo obchodzi, skonkludowaliśmy w pierwszej chwili, ale, jak widać, była to błędna konkluzja.

■ Strach padł na mieszkańców Trójmiasta. Historycznie rzecz biorąc, słusznie. Przy nabrzeżu portu Marynarki Wojennej w Gdyni zacumował bowiem włoski niszczyciel „Caio Duilio” uzbrojony w system rakietowy PAAMS, armaty 25 i 76 mm oraz wyrzutnie torped. Spokojnie! Tym razem Włosi są po właściwej stronie. No, chyba że znów im się coś zmieni.

R.J.

PS Wieści pochodzą z prasy regionalnej, przez to za ich prawdziwość nie bierzemy odpowiedzialności. Tak czy siak, działają jednak pedagogicznie, uwodzą cielsko lub złowroźnie.

Dziatwa w szponach rzecznika praw dziecka.

Kuć żelazo, gdzie konia biją

Kamilek z Częstochowy – świętego dla wszystkich Polaków miasta – żywot zakończył znacznie szybciej, niż przewidują tablice Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Do średniej przewidzianej dla płci męskiej zabrakło mu 64 lata, dla żeńskiej – 72, lecz nie wiadomo, ile stracił, bo mogło się okazać, że mimo męskiego imienia wyrósłby na kobietę i pisane byłoby mu dłuższe życie, gdyż tak się składa, że bite, poniewierane, szkanowane na rynku pracy i gnębione na wszystkich frontach białogłowy na tym padole łez spędzają więcej czasu i gdy ich oprawców w mogile ciemnej już dawno zżarło i wysrało robactwo, one malują się przed podświetlanym lustrem, a potem za pieniądze martwych mężów i kochanków korzystają z usług osobistych trenerów, wprawnych pedikurzystów i wysportowanych żigolaków.

Przyjaznych sprawdzimy

Kamilek cierpiał, a teraz cierpi z nim cała Polska, leją się łzy od Bałtyku aż po Tatrę, wzbierają skazane na przeczulikowość rzeki, zmartwychwstają wysychające na pieprz jeziora, zielenieją pustynie, tak się pięknie i empatycznie porobiło, że polski bohater nie poznałby tej ziemi, gdyby wciąż oddychał. A naród oplakuje swego dzielnego syna.

Rzecznik praw dziecka od tego jest, by stać na straży praw dzieci, więc postanowił kuć żelazo, póki gorące i piec, na którym grillowano Kamilkę, jeszcze nie wystygł, więc ogłosił, że „sprawdzi, czy placówki edukacyjne, które znalazły się w ogólnopolskim Rankingu Szkół Przyjaznych LGBTQ+, przygotowanym przez środowiska lewicowe, weryfikowały swoich pracowników w rejestrze pedofilów”.

Ranking, do którego pije rzecznik, prowadzony jest od 2018 r., a pozycja budy w zestawieniu zależna jest od opinii wyrażonych przez uczniów szkół ponadpodstawowych i nauczycieli, czyli towarzystwo zasadniczo obeznane z masturbacją, ale przecież nieskazane jeszcze na wiekiusty pobyt w piekle.

...

Inicjatorem Rankingu Szkół Przyjaznych LGBTQ+ jest Dominik Kuc, „aktywista, edukator i Europejczyk” – jak pisze o sobie, lecz dwa lata temu patronat nad projektem objęła Komisja Europejska. Finansowany jest on przez Islan-

die, Liechtenstein i Norwegię za pośrednictwem Funduszy Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Jednym słowem ma wsparcie niechętnych potęgde Polski i cnotcie polskich dzieci internacjonalistów, z Niemcami na czele, bo nikomu tak jak Niemcom nie zależy na zdeprawowaniu wiernej nauce Jana Pawła II polskiej młodzieży.

Zdeprawowana, ciągle onalizująca się i odbywająca po kilka stosunków analnych dziennie młodzież nie będzie bowiem zdolna do upomnienia się o reparacje od Niemców,

a sześć bilionów dolarów piechotą nie chodzi i – co oczywiste – Niemcy wolą je przehulać albo przeznaczyć na budowę gazociągu Nord Stream 3, niż wypłacić Polsce, by jeszcze bardziej urosła w siłę i siałą popłoch od Berlina przez Królewiec aż po Moskwę.

Z kolei patronaty honorowe nad rankingiem objęli prezydenci Warszawy (Rafał Trzaskowski), Poznania (Jacek Jaśkowiak), Łodzi (Hanna Zdanowska), Gdańska (Aleksandra Dulciewicz) oraz Wrocławia (Jacek Sutryk), czyli wybitni przedstawiciele targowicy. Ergo: polskie dzieci znalazły się nad przepaścią i interwencja rzecznika praw dziecka jest nie tylko zasadna, ale i niezbędna.

...

Choć gwoili prawdy dodajmy, że nieco spóźniona, bowiem niezwyfikowani przez niego i Instytut Pamięci Narodowej ankieterzy od pięciu lat nawiedzają szkoły w celu pobrania opinii uczniów i nauczycieli, siejąc genderową propagandę i przy okazji zapewne dopuszczając się aktów dalece bardziej nieuporządkowanych moralnie.

Inicjatywa Pawlaka nie mogła się spodobać wszelkim zdrajcom ojczyzny, o indywiduach pokroju marszałka senatu Tomasza Grodzkiego nie wspominając. „Przywrócić świetność rzecznikowi praw dziecka to jest tylko mały fragmentcik sprzątania po PiS. To jest rzecz tak oczywista, że nie wymaga komentarza” – perorował marszałek senatu, tym samym upewniając rzecznika Pawlaka, że kroczy po właściwej ścieżce. „Biuro Rzecznika Praw Dziecka

sprawdza rozmaite szkoły – katolickie, muzyczne, podstawowe, ponadpodstawowe... A więc to nie dotyczy tylko tych placówek, które pojawiają się w różnych dziwnych rankingach. Po drugie, szkoły najczęściej sprawdzane są pod kątem przeciwdziałania przestępstwom wobec dzieci. Niestety, w wielu przypadkach okazuje się, że dyrektorzy czy też inne instytucje nie weryfikują swoich pracowników w rejestrze pedofilów. (...) Spodziewam się, że różne organizacje, które wcześniej chciały wchodzić do szkół z pseudoedukacyjnymi programami, będą się teraz oburzały, ale jeszcze raz podkreślam, że procedura kontroli nie jest nadzwyczajną sytuacją” – obwieścił rzecznik, dając do zrozumienia, że od pomysłu kontroli nie odstąpi.

...

Plus ujemny wystąpienia rzecznika: o Rankingu Szkół Przyjaznych LGBTQ+ stało się głośno, a przed interwencją RPD interesowała się nim le-dwie garstka zapaleńców. Z 1,5 mln uczniów szkół ponadpodstawowych w ubiegłym roku ankiety wypełniło 22 tys. i nawet w miastach znanych z otwartości na grzech najwięcej placówek było nieklasyfikowanych. Np. w Poznaniu na 70 szkół w 39 ani jeden uczeń nie wziął udziału w ankiecie, a w kolejnych 20 kwestionariusz wypełniło mniej niż 15 uczniów i szkoły te, jako ocenione przez niewystarczającą liczbę osób, także nie zostały uwzględnione w klasyfikacji. Dzięki rzecznikowi przedsięwzięcie ma całkiem intensywną reklamę, co może się przełożyć na wzrost popularności wśród młodzieży, a diabeł tylko na to czeka.

Plus dodatni: zapowiedź kontroli pozwoliła Tomaszowi Rzymkowskiemu, wiceministrowi od edukacji, po raz kolejny dowieść swej przenikliwości i wyjątkowych zasobów intelektualnych. „Nie rozumiem reakcji marszałka senatu i innych osób oburzonych zapowiedzią kontroli. Przecież opozycja wielokrotnie używała argumentów mówiących o konieczności ochrony dzieci przed wszelkiej maści zwyrodnialcami. Działania pana rzecznika w tej sprawie są jak najbardziej słuszne, uzasadnione i celowe” – stwierdził.

W ubiegłym roku ojciec Rzymkowskiego, zwoleńnika rodziny tradycyjnej i wiernej wartościom, trafił do aresztu w związku z podejrzeniem, że molestował seksualnie członka rodziny. Nawet jeśli wiceminister nie jest tym członkiem, zapewne wie, co w trawie piszczy.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK



WIEŚCI Z KRUCHTY

Metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski otrzymał od prezydenta RP Andrzeja Dudy Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w pracy duszpasterskiej, za propagowanie postaw patriotycznych”. Nie mamy nic przeciwko ob-wieszaniu Jędraszewskiego krzyżami przez Dudę. To bez znaczenia. Także dla samego Jędraszewskiego. On by wołał kapelus, nie order. Od Franciszka. Kardynał-ski. Krzyż od Dudy to nagroda pocieszenia. Ale krzyżem sobie Jędraszewski łez nie obetrze.

Jędraszewskiemu życzenia z okazji jubileuszu 50-le-cia święceń kapłańskich złożył w imieniu Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki, przewod-niczający KEP. „Kościół, który jest w Polsce, dziękuje Bogu za plony twojej kapłańskiej pracy” – powiedział Gądecki. Dał tym wyraz swojej hipokryzji. Kościół dzie-ki Jędraszewskiemu postrzegany jest jeszcze bardziej jako obskurantki i opresyjny. Plony kapłańskiej pracy Jędraszewskiego to coraz liczniejsze apostazje. To ra-czej my powinniśmy powiedzieć: „Dziękujemy, Marku, za plon twojej pracy – postępującą galopująco seku-laryzację”.

Zgodnie z danymi przekazanymi PAP przez Krajową Radę Duszpasterstwa Powołań Konferencji Episko-patu Polski w bieżącym roku akademickim formację rozpoczęło 338 alumnów. Z roku na rok jest to coraz mniejsza liczba. Z jakiego powodu? Pogadajcie z Ję-draszewskim.

Powstanie zespół naukowo-badawczy, który prze-analizuje 40 lat życia Karola Wojtyły. Efekty prac zo-staną opublikowane w 2028 r. Inicjatorem projektu jest Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Warszawie mieszczące się w Świątyni Opatrzności Bożej (tej, co wygląda jak monumentalna wyciskarka do cytryn). Efektem prac ma być monografia, która zostanie wydana w roku 2028. Publikacja ma obej-mować czas od momentu przyjazdu Karola Wojtyły do Krakowa i rozpoczęcia studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim aż do dnia wyboru na Stolicę Piotrową. W tygodniku „NIE” co tydzień publi-kujemy w dziale „Wojtylizna” fragment biografii Karola Wojtyły obejmujący całe jego życie i działalność. Też wydamy książkę. Będzie na pewno najciekawszą bio-grafią Jana Pawła II, jaka się ukazała po polsku.

„Życie Jana Pawła II powinno być dla nas wszyst-kich drogowskazem” – powiedział z okazji 103. roczni-cy urodzin Jana Pawła II premier Mateusz Morawiec-ki. Co jak co, ale Karol Wojtyła, ani kiedy był biskupem krakowskim, ani kiedy był papieżem, nie kupował od diecezji działek budowlanych, aby je przepisać na żonę i opchnąć z dużym zyskiem. Nie miał po prostu żony.

Ks. Daniel Wachowiak – znany głównie ze swojej działalności w mediach społecznościowych – po-chwalił się na Twitterze, że zrezygnował z wejścia do restauracji wyłącznie dlatego, że wisiała przed nią „jedynie flaga Ukrainy”. Brak było polskiej. Najwyraż-niej aż tak bardzo nie był głodny. I nie ma się czym już popisywać przed followersami.

Ten sam ks. Wachowiak w innym twitterowym wpisie dokopał rodzicom przychodzącym do kościo-ła z małymi dziećmi. Napisał: „W przeżyciu Mszy najbardziej przeszkadzają rodzice, którzy nie reagują, gdy powinni zareagować. Rodzice, dla których dzie-ciocentryzm wyparł zrozumienie tego, jak ważna jest Liturgia”. Zgadamy się w jednym: nie prowadzając dzieci do kościołów. To okropnie nudne, więc dzieci się wiercą, ale też okropnie szkodliwe dla psychiki małego dziecka.

Cztery piąte Polaków deklaruje, że papież Jan Paweł II jest dla nich autorytetem moralnym – wynika z nowego sondażu Centrum Badania Opinii Społecznej. Niemal połowa ankietowanych uważa, że donie-sienia o tuszowaniu pedofilii przez Karola Wojtyłę to atak na niego mający na celu podważenie jego auto-rytetu. Wniosek z tego sondażu jest przytłaczający. Nie chodzi o cielecą wiarę w kremówkowego papkę. Chodzi o tak wielki brak empatii dla dzieci, ofiar wielu makabrycznych tragedii.

KLECHA

Ku przestrodze wiemych i niewiemych z prasy katolickiej i niekatolickiej.

AWŁ

Beznadziejni idioci to my

Daremne żale, próżny trud. Polityk ma w dupie nauki trud.

Komitet Prognoz Polskiej Akademii Nauk (nuda!) zorganizował konferencję (nuda!) pod smutnym, a nawet żdziebko żalonym tytułem „Dlaczego nas nie słuchają” (nuda!). Kupa mą-drych ludzi (nuda!) z poważnymi tytułami na-ukowymi (nuda!) zastanawiała się nad „źródłami nieskuteczności środowiska naukowego w prze-kazywaniu opinii publicznej i rządzącym idei istotnych z punktu widzenia państwa i społeczeń-stwa” (nuda!). Konkluzje nie były optymistyczne, ale przytoczę je, bo mogą się wydawać przynaj-mniej zabawne.

Zmieścić się na połowie kartki

Prof. Paweł Kozłowski, ekonomista, uznał, że wina leży po stronie intelektualistów, bo za-miaś dążyć do prawdy, zaczęli wpisywać się w różne „narracje”, a co gorsza, wypowiadają się w tematach, na których się nie znają, więc co-raz więcej obywateli sądzi, że uczeni wcale nie są mądrzejsi od nich i po cholere ich słuchać. Prof. Zbigniew Czachór, europeista z trzema dekadami doświadczenia w doradzaniu różnym władzom, powiedział, że jak ekspert chce, żeby politycy go słuchali, to musi zmieścić swoją ekspertyzę na połowie kartki maszynopisu, bo ministrowie to bardzo zajęci ludzie i nie ma co się za to na nich obrażać. Dodał, że nawet jak

przeczytają i rozumieją, nic nie musi z tego wy-niknąć.

Prof. Michał Bilewicz, psycholog społeczny, sprawiedliwie podzielił przyczyny, dla których akademia ma tak niewielki wpływ na życie pu-bliczne, między trzy grupy – uczonych, polity-ków i społeczeństwo – i skonstatował, że wszyscy są beznadziejni. Bo nastąpił upadek standardów publikacji naukowych i brak zachęt do popula-ryzacji nauki. Bo „populistyczny zeitgeist” sprawia, że rządzący bardziej przejmują się ewentu-alną utratą poparcia niż możliwą szkodliwością ich działań (zespół Bilewicza zrobił badania nad psychologicznymi uwarunkowaniami niechęci do szczepień i poszedł z nimi do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w czasie pandemii, ale usłyszał, że jak władza zacznie mówić takie rze-czy, to straci elektorat na rzecz Konfederacji). Bo

czepiemy „wiedzę” z mediów społeczno-ściowych, gdzie teorie spiskowe sprzedają się lepiej niż naukowe, zwłaszcza w czasach niepokoju i lęków.

Samiec alfa w zaprzęgu na Wiejską

Czego się boi Szymon Hołownia.

Były asystent egzorcysty, a obecnie europoseł PiS Dominik Tarczyński nazwał Donalda Tuska „złym człowiekiem”, który „stosuje techniki sekciarskie”. Dominik Tarczyński jest powszechnie znany jako dobry człowiek – co podkreśla raz po raz, np. nazywając Walęsę „bydlakiem”, a antyrządowe media „śmierdzącym kłamliwym łajnem opozycyjnymi hienami” – więc z pewnością wie, co mówi, jeśli chodzi o jakość człowieczeństwa Tuska. Zostawmy ten spór prawicy. Bardziej intrygujący jest zarzut sekciarstwa.

Sekciarstwo to jeden z najcięższych grzechów w marksistowskim ruchu robotniczym. Według „Encyklopedii powszechnej” PWN z roku 1987 to „postawa będąca skutkiem dogmatyzmu, polegająca na nieumiejętności wcielania w życie zasad marksizmu-leninizmu w zmienionych warunkach historycznych; prowadzi do naruszenia zasad demokracji wewnątrzpartyjnej i socjalistycznej praworządności oraz staje się przyczyną oderwania partii od klasy robotniczej i szerokich rzesz społeczeństwa”. Sekciarstwo zarzucali sobie nawzajem stalinieści z trockistami z wiadomym dla tych ostatnich skutkiem. Fakt, że europoseł Prawa i Sprawiedliwości, przedstawiający się jako „wnuk Wykłętego”, posługuje się tym radykalnie lewicowym pojęciem, dowodzi nieśmiertelności myśli Karola Marksa (powiedźcie nam coś, czego nie wiemy), ale także inspirowanie do przynajmniej części politycznej działalności przewodniczącego Platformy Obywatelskiej na przestrzeni ostatnich trzech dekad.

W popularniejszej i bardziej zrozumiałej definicji sekciarstwo to bowiem działalność rozbiłacka i eliminowanie tych, którzy myślą inaczej. Na tym odcinku Donald Tusk jako żywo ma niejakie osiągnięcia.

W garniturach, krawatach, niepalący

Po wyborach 1993 r., kiedy kierowany przez Tuska Kongres Liberalno-Demokratyczny został przez wyborców odesłany na śmietnik po nieprzekroczeniu progu, silna jeszcze wówczas Unia Demokratyczna wyciągnęła do młodych liberałów rękę i tak powstała Unia Wolności.

Zjednoczenie tych dwóch środowisk – starej inteligentkiej opozycji z czasów PRL i młodych beneficjentów kapitalizmu – jeden z gdańskich liberałów opisywał w ten sposób: „Oni – średnia wieku 60 lat, w swetrach, wszyscy kopcą papierosy, my – średnia wieku 25 lat, w garniturkach, krawatach, oczywiście niepalący. Ale byliśmy zachwyceni, zgodnie twierdziliśmy, że niczym się nie różnimy, jesteśmy jedną partią. Po czym po spotkaniu oni człap, człap do tramwaju, a do nas mrugają wesoło światła naszych zdalnie otwieranych samochodów”... To oczywiście była pewna recepta na sekciarski rozłam wewnątrz nowej formacji i historia potoczyła się zgodnie z oczekiwaniami.

Politycy wywodzący się z KLD z zaangażowaniem ciągnęli partię w kierunku społecznego darwinizmu, chcieli atakować Solidarność (co wówczas nie było jeszcze takie oczywiste i łatwe) za działania w obronie miejsc pracy, oprostowywali koncept społecznej gospodarki rynkowej jako lewacki. „Tusk zasugerował wyraźnie, że na dłuższą metę takie myślenie, jak Jacka Kuronia, powinno zniknąć z UW” – pisze w swoich wspomnieniach z tego czasu Waldemar Kuczyński. Kuroń był wówczas najpopularniejszym politykiem w Polsce – a na pewno w UW – a jego myślenie, które Tusk chciał wyeliminować, polegało na dostrzeżeniu, że istnieje, jak ujął to Tadeusz Mazowiecki, „konflikt między przyjaciółmi rynku i przyjaciółmi ludu”.

Brutalnie wycięci

W 1997 r. Unia Wolności weszła do sejmu z wynikiem 13,4 proc. i utworzyła koalicję z nieśczęsną Akcją Wyborczą Solidarność, prawacką zbieraniną skleconą przez przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Mariana Krzaklewskiego. Na czele rządu stanął Jerzy Buzek, powszechnie (i słusznie) uważany za marionetkę Mariana, a gospodarka trafiła w wypróbowane ręce Leszka Balcerowicza. Efekt nie był trudny do przewidzenia: obywatele zgodnie podziękowali najbardziej prawicowemu rządowi lat 90. łączącym w sobie gospodarczy darwinizm UW z ekstre-

rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

malnym katooszołomstwem AWS. Obie formacje nie dostały się do następnego sejmu, a rządy triumfalnie przejęła lewica.

Jednak zanim do tego doszło, na rok przed wyborami Unia Wolności wybrała sobie nowe władze, z których liberałowie zostali – jak oceniała wówczas prasa – „brutalnie wycięci”, co dowodziło, że sześć lat po romantycznych zaślubinach 25-latków w garniturach ze starymi palaczami w swetrach sekciarski podział w partii jest tak samo żywy. Geremek, który wygrał wówczas z Tuskiem wybory na szefa UW, nie udawał nawet, że pragnie zachować równowagę między dwoma środowiskami, choć trzeba przyznać, że liberałowie ułatwili mu sprawę, walcząc o władzę w partii bardzo specyficznymi metodami.

Martwi i łysi

W gazetkach pojawiły się doniesienia, że członkowie „sztabu wyborczego” Tuska chodzą po pubach i werbują do UW młodych ludzi za piwo. „Gazeta Wyborcza” pisała o „ogolonych na lyso młodzieńcach w dresach” zwożonych na obrady terenowe. Zwolennicy Tuska zapisywali do Unii martwe dusze, żeby napompować liczebność zjazdów regionalnych i zmniejszyć przewagę geremszczyzny. Wśród nowych członków partii znalazł się Grzegorz Brzeczyszczykiewicz, znany z filmu „Jak rozpętałem II wojnę światową”, a także ludzie, którzy kiedyś żyli, ale dawno przestali: pewna krakowska wdowa ze zdumieniem przeczytała list, w którym jej zmarłemu wiele lat wcześniej mężowi dziękowano za wpłacenie zaległych składek członkowskich. I tak dalej. W efekcie ludzie Tuska zniknęli z władz UW, a on sam znikająca znalazł się w nowej formacji: Platformie Obywatelskiej. Co uczynił w najlepszym możliwym stylu. Przez wiele dni Tusk i Andrzej Olechowski, który w 2000 r. zajął drugie miejsce w wyborach prezydenckich (praktycznie było to bez znaczenia, zważywszy że Kwaśniewski wygrał w pierwszej turze, ale miało pewien wymiar symboliczny), prowadzili z władzami UW długie i poważne rozmowy, żeby potem zniknąć na kilkanaście godzin i wyłonić się jako założyciele nowej partii. Tadeusz Mazowiecki mówił potem do Tuska w trójosobnej rozmowie w „GW”: „Muszę powiedzieć, że poczułem się, mówiąc tak bardzo po ludzku, nieco oszukany”. Donald Tusk, zaskakująco, nie wyraził skruchy, tylko pretensje, mówiąc mniej więcej wprost, że gdyby został szefem Unii Wolności, to przyprowadziłby w wianie Olechowskiego i marszałka sejmu Macieja Płażyńskiego, cieszącego się na Pomorzu wielką popularnością. Zamiast tego ten triumwirat powołał do życia PO. Był styczeń 2001 r.

Twardzi i zdecydowani

W Platformie potencjał sekciarski Tuska ujawnił się w pełnej krasie. Najpierw wygrzył Macieja Płażyńskiego, który został pierwszym

szefem PO, ale długo nim nie pobył, bo zaczął zgłaszać wątpliwości co do kształtu budowanej przez Tuska formacji, którą nazwał „zamkniętym, wąskim pomysłem politycznym”. Wobec czego Tusk ogłosił, że „PO potrzebuje dziś ludzi twardych i zdecydowanych; Polska jest w dramatycznym momencie historycznym i wątpię w sens działania niczego nie wygrają”. „Mówiłem to do ludzi związanych z Płażyńskim i dostałem owację” – pochwalił się Donald, który natychmiast po odejściu Płażyńskiego z partii został jej szefem.

Pod koniec dekady z PO odszedł trzeci z tenorów – Andrzej Olechowski. Tusk pożegnał dawnego towarzysza we właściwym sobie stylu: uznał, że Olechowski to „człowiek trochę rozczarowany niespełnieniem jego własnych aspiracji czy oczekiwań, których ja nie jestem w stanie spełnić”, i dodał z wdziękiem, że Olechowski się ośmiesza: w liście, który Tusk od niego dostał, znalazły się „niektóre sformułowania, które można by potraktować nawet jako zabawne”.

Odejście Olechowskiego nastąpiło dopiero w 2009 r., ale Tusk wyciął go z listy osób liczących się w partii dużo wcześniej – w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” po odejściu

z PO Olechowski mówił, że nie rozmawiał z Tuskiem od trzech lat.

Przemocowcy i indywidualiści

Nie był jedynym konkurentem, którego Tusk zlikwidował. W 2007 r., po wygraniu wyborów przez PO, okazało się, że dla partyjnych indywidualności, byłych opozycjonistów, polityków z pierwszych stron gazet, z własnym dorobkiem i szansą na zagrożenie pozycji szefa, nie ma miejsca w rządzie. Jedynym facetem z tego grona, który znalazł się w gabinecie Tuska, okazał się Bogdan Zdrojewski – ale zamiast zapowiadanego resortu obrony dostał cokolwiek peryferyjne ministerstwo kultury.

Historia premierostwa Tuska przebiegła według przewidywalnego schematu: lider PO sprawował władzę absolutną, wyrzynając każdego, kto choć trochę wystawał na powierzchnię, po czym porzucił Ojczyznę, coraz bardziej zagrożoną pisowską nocą, dla eleganckiej i dochodowej pozycji w Brukseli,

namaszczając na szefową rządu pozbawioną jakiegokolwiek charyzmy i kompetencji politycznych lekarkę z Szydłowca. Ewa Kopacz była też tą osobą, która usłudze usunęła się z zarządu PO, żeby Donald mógł powrócić na białym koniu i jako „najstarszy wiekiem wiceprzewodniczący partii” – tak ujmuje to statut PO – objąć tymczasowe kierownictwo i miękko przejąć władzę od rozpaczliwego skądinąd Budki.

Trudno też nie odnotować, że cała działalność Donalda Tuska na rzecz zjednoczenia opozycji ma cokolwiek – no właśnie – sekciarski charakter. To, co Szymon Hołownia z wdziękiem nazywa „przemocowymi załatami PO” – szantaż i publiczne smaganie towarzyszy z demokratycznej opozycji, którzy chcą zachować swoją programową i polityczną tożsamość – trudno uznać za próbę budowy partnerskiej koalicji, która poprowadzi Polskę do lepszego demokratycznego jutra. A lepsze jutro bardzo by się nam przydało.

AWŁ

MÓZDZEK TYGODNIA

Członkowie Komisji Kultury i Edukacji Parlamentu Europejskiego, którzy podczas wizyty w Polsce mieli nieszczęście potknąć się o Przemysława Czarnka, narzekają na jego „agresję i brutalność”.

Zauważyć, że Czarnek jest troglodytą, to jak stwierdzić, że po piątku przychodzi sobota. Chamstwo i prostactwo są wpisane w genotyp niektórych ludzi. Chamstwo to drugie imię Czarnka. Z chamstwem dobrze się czuje, bo tak go najwidoczniej wychowano i takich manier nabrał, przestając z takimi jak on.

Gdyby Czarnek pilnował składu węgla albo ryl w ziemi doły na cmentarzu, to jego charakter nikomu by nie przeszkadzał, bo ani ogrodzenie, ani szpadeł nie muszą cieszyć się obecnością ludzi z ogładą. Ale to chami-dło taplające się w wizerunkowym rynsztoku jest ministrem! Do tego ministrem edukacji i nauki. Reprezentuje Polskę przed ludźmi zwykle dobrze wykształconymi i wychowanymi, często z zagranicy. Reprezentuje nie tylko siebie, rodzinę Czarnków i prezesa, któremu wchodzi w dupę, ale także trzydzieści kilka milionów istot ludzkich mieszkających w piątym co do wielkości kraju Unii Europejskiej.



Czarnek przynosi wstyd Polsce i Polakom. Przepraszamy za Czarnka europosłów z komisji kultury. Niech Pani nam wybaczysz Czarnka, Pani Sabine Verheyen. Niech Pani wybaczysz, Pani Ilano Cicurel. Jeśli nie chciały Panie usłyszeć w Polsce chamstwa, mogły Panie nastawić płytę z muzyką Chopina albo Góreckiego.

PLURALIS MAIESTATIS

Lassie, wróć!

Ostatnio zdecydowanie najlepsze gratisowe produkty dla widzów to sondy uliczne TVP. Człowiekowi serce się raduje, że statysta, najmniejszy robaczek z robaczków show-biznesu, może sobie dorobić, rżnąc głupa choćby i na małym ekranie. Inna sprawa, że statysta, jak to statysta, zawsze musi przedobrzyć. Takiej ilości królów Lirów, Desdemon i Hamletów to ja dawno nie widziałam jak przez ostatnie dni, kiedy Tusk u bram, Ruskie w Bachmucie, 800+ u pyska, Czarnek dostał wścieku, bo zwęszył zatechły wojenny i niemiecki pierd na alei Szucha. Pewne bolączki kinematografii pozostają jednak niezmiennie niezależnie od okoliczności.

Doktor Goebbels raczył powiedzieć: „Dajcie mi media, a z każdego narodu zrobię stado świni”. Jako że świnię to bardzo inteligentne zwierzęta, uważam, że powinno się przestać w kontekście TVP niepokoić ducha rzeczonoego doktora. Zdecydowanie jesteśmy już na poziomie „Der Stürmera” Juliusa Streichera. Nie wiem tylko, czy odtrutkę stanowią Teletubisie czy Bergman? O ile w ogóle jakaś odtrutka istnieje, bo możliwe, że na Woronicza trzeba już zrobić rozbiórkę i zasiał trawę dla owieczek. Strat w ludziach zbędnych nie będzie, bo w towarzystwie wciąż jest wiele związków ideologicznie mieszanych. Jakoś żyć trzeba. Od razu przypominają mi się znajomi moich rodziców, dawne dzieje, on był fiszka w partii, ona odstawiała Solidarność. Dla dobra rodziny, jak twierdziła ta pragmatyczna kobieta. Może, może. Może to nawet dobrze im robiło na seks. Kto wie?

Tak czy siak, zostało powiedziane anonimowo dla Wirtualnych Mediów: „Mamy nowe wytyczne. Wynika z nich, że polityka ma być cały czas obecna w materiałach, kursu i tempa w tym zakresie nie zwalniamy ani trochę, ale te tematy mają być podawane widzowi w bardziej przystępny i mniej łopatologiczny sposób”. To jak w końcu? Zrobią lobotomię nam czy sobie? Im może już nie pomóc, zdaje się.

...

Tymczasem Państwowy Instytut Sztuki Filmowej blokuje w Polsce rozpowszechnianie dokumentu w reżyserii Joanny Grudzińskiej „Nie cała umrę” – film nie przeszedł kolaudacji, bo ponoć jest „niewyobrażalnie nudny”. Cóż, w sumie to rzecz o poetce Zuzannie Ginczance, a z poezją różnie bywa. Smaczku dodaje fakt, że 27-letnią dziewczynę zadenuncjowała Chominowa, stróżka krakowskiej kamienicy, w której skamandrytka się ukrywała. Więcej szczęścia zapewne będzie miał film fabularny Agnieszki Holland „Zielona granica”, bo jest niezależny od pieniędzy Głińskiego. Zdjęcia zakończyły się 12 maja. „Moi przyjaciele znaleźli na granicy kolejne ciało mężczyzny. Był nagi, umarł z wychłodzenia. Wtedy dowiedziałam się, że gdy człowiek ma hipotermię, towarzyszy mu uczucie strasznego gorąca i zaczyna się rozbierać. I ta wizja tego chłopca, który w moim kraju, tuż obok, w lesie, gdzie ludzie chodzą na spacer z psami, na grzyby, umiera z wychłodzenia, jest czymś strasznym” – powiedziała Agnieszka Holland w rozmowie z Karoliną Korwin-Piotrowską. Fatalnie to wszystko wygląda: goły dzieciak i seksowna Żydówka, za którą polscy poeci latali z wywalonymi jęzorami do pasa... Demoralizacja!

...

W nasycaniu kształcą marnością prezesowi TVP Matyszkowiczowi nie ustępuje minister Głiński. Siła doświadczenia! Wysłał na festiwal w Cannes i towarzyszące mu targi filmowe silną grupę pod wezwaniem, która będzie przekonywała świat o tym, że Polska jest przepelniona heroicznymi dziewczynami, bohaterskimi kapłanami i nadzwyczajnymi żołnierzami – na przykład pilotami tak dobrymi, że polecą nawet na drzwiach od stodoły. Nie chciałabym być zbyt złośliwa, ale jeszcze trochę i w tym kraju do latania pozostaną już tylko drzwi.

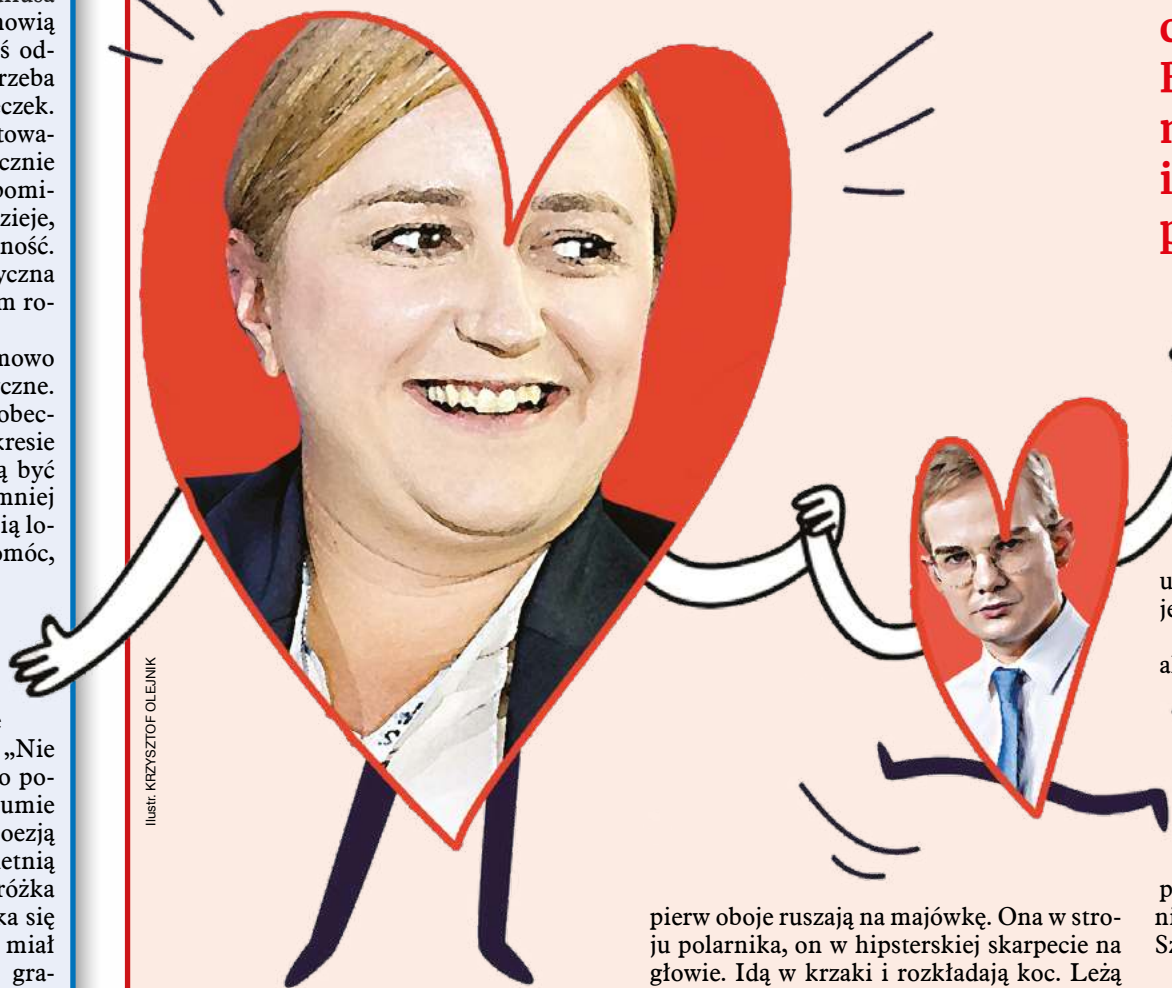
Zastanawiam się, skoro już zostaliśmy 51. staniem, czy nie moglibyśmy nauczyć się od Amerykanów robić filmów? TV? Propagandy? Mnie od czasu do czasu budzi w środku nocy niepokojąca myśl, że opozycja komunistyczna wzięła się za obalanie systemu, bo oto w kraju pojawiły się pierwsze odtwarzacze wideo i to całe morze amerykańskiej komercji filmowej. Stworzenia drugiego „Rejsu” raczej nie wróżę, ale może chociaż udałoby się „Lassie, wróć!?” Sprzedamy ci, dziecko, z powodu nędzy ukochanego psa, ale on wróci. Na pewno wróci...

IZABELA SZOLC

Niełatwe życie pary wiceministrów-małżonków.

Droga, którą idą, jest „usłana kłodami”. Czytam to i wzruszam się wielce. Zwłaszcza „gdy nagle w gąszczu politycznego życia pojawia się miłość”, a odpowiedzią na czyste, niezbrukane uczucie jest totalny hejt liberalnego establishmentu.

Wiadomo, że „internet rządzi się swoimi prawami, dominują w nim ostre sformułowania”. Jednak skandaliczne jest, „gdy hejt pojawia się w ustach polityków, osób publicznych i spotyka się z przyzwoleniem. Tak było z prezydentem Białegostoku Tadeuszem Truskolaskim czy posłem Witoldem Zembaczyńskim, który z mównicy sejmowej, przy biernej aprobacie marszałek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, naśmiewał się z mojego wyglądu” – tak swe wielce traumatyczne przeżycia opowiada w lizusowskim prorządowym tygodniku „Sieci” wiceminister finansów Piotr Patkowski.



Oto idzie pierwsza para

W zeszłym roku popularny „Super Express” donosił: „Wiceminister finansów Piotr Patkowski i wiceministra rozwoju i technologii Olga Semeniuk zostali małżeństwem. Zakochanych dzieli trzy lata różnicy – on urodził się w 1991 r. w Lipsku koło Radomia, a ona – w 1988 r. w Warszawie. Poznali się dwa lata temu w murach Kancelarii Premiera”. I cytuję ministra Piotra: „Najpierw byłem doradcą w gabinecie politycznym premiera, a później pracowałem w Centrum Analiz Strategicznych w KPRM. Olga była wtedy najbliższą współpracowniczką ministra Michała Dworczyka, a później została wiceministrem rozwoju. Od roku jesteśmy parą, a niedawno byliśmy oświadczeni”. „Super Express” informuje też, że „wiceminister finansów ceni swoją partnerkę za osobowość, charakter i intelekt oraz za to, że jest dobrym człowiekiem”.

Tak się potem złożyło, że pierwsza para rządu Zjednoczonej Prawicy częściej gościła na łamach „Super Expressu”. W lutym czytaliśmy tam: „Powiedzieli sobie sakramentalne »tak« w listopadzie 2022 r. Za sobą mają już pierwsze wspólne święta Bożego Narodzenia i sylwestra, a teraz przyszło na uczczenie pierwszych Walentynek jako małżeństwo! Olga Semeniuk-Patkowska pochwaliła się, jak spędza z mężem święta zakochanych, na Instagramie. »Udało się. Prosto po pracy wpadliśmy do jednej z gruzińskich restauracji w Warszawie« – zdradziła. Pokazała też wspólne zdjęcie w środku klimatycznej restauracji i z bukietem jasnoróżowych tulipanów”.

A w maju mogliśmy znów w „Super Expressie” przeczytać: „Uczucie Piotra Patkowskiego i Olgi Semeniuk-Patkowskiej

Trzeba sprzedać tę miłość

nie gaśnie. Małżeństwo wiceministrów w rządzie PiS znalazło czas na romantyczny piknik w majowy weekend. Soczysta zieleń, wiosenne słońce i gorące uczucie to przepis na dobrze spędzony czas. Państwo Patkowskich z kocem piknikowym i modnym koszem pełnym smakołyków na łonie natury nie szczędzili sobie czułości. Ona karmiła jego, on jak prawdziwy dżentelmen dolewał jej z termosu krzepiącej herbaty. Do tego pocałunki, czule spojrzenia, dyskretne pieszczoty. Niejedna para może pozazdrościć ministrom udanego związku!”.

Kalambury z ludzkiej skóry

Ta sprzedawana jako autentyczna relacja z wielkiej majówki ministerialnej pary wzbogacona była licznymi komiksowymi zdjęciami. Prymitywnie prezentującymi szczęście wiceministrów-małżonków. Naj-

wepchnąć w hejterską narrację, ale politycy PO przekraczają wszelkie granice. I takie wzorce idą w dół społeczeństwa”.

Tak bym chciała postem być

Państwo Semeniuk-Patkowskich, kreowani w „Sieci” jako PiS-chrześcijanie pożerani przez hejtowskie lwy z PO, kreują też swój wizerunek sympatycznej tradycyjnej narodowo-katolickiej rodziny. Zdolnej do najwyższych poświęceń.

Ona dla niego stała się punktualna. On palił papierosy i pił coca-cola. Papierosy dla niej rzucił. Spożycie coca-coli ograniczył. Bo może przyda się ta marka jako produkt i sponsor klipu w kampanii wyborczej.

Choć Piotr spontanicznie zdradził, że lubi kuchnię włoską, a jego Olga śródziemnomorską, to jako swe ulubione dania zadeklarowali: schabowy z kością i tradycyjne polskie kotlety mielone. Aby było zgodnie z aktualną, narodową i promienną linią ich partii.

Olga do niedawna nie chodziła na mecze piłkarskie, ale teraz już zaczęła. Przyzwyczajają się do nich. Nie ma jeszcze ulubionej drużyny, bo nie zna na razie swojego okręgu wyborczego.

Minister Olga jest już radną warszawską, ale będzie kandydować do Sejmu RP. Ze stajni premiera Morawieckiego, który chce wprowadzić tam grono swych zaufanych. Chce mieć drużynę, jak Zbigniew Ziobro. Szuka dla nich dobrych okręgów z biorącymi miejscami.

Tragizm minister Semeniuk-Patkowskiej polega na tym, że jest kompetentną urzędniczką państwową. Ale nie ma urody Beaty Szydło i rozpoznawalności Magdy Ogórek.

Nad urodą minister Olgi mogą popracować styliści i fotoszopy. Jednak na tak bardzo wymaganą obecnie rozpoznawalność musi sama ciężko zapracować. Najszybciej zyskuje się ją medialnymi ustawkami. Ciągłe aranżowanymi „spontanicznymi” sesjami z codziennego „prawdziwego” życia polityka. Promującymi ją i obnażającymi jej „prawdziwą osobowość”.

Dlatego dla wyborczej popularności będzie musiała pozować do głupich, prymitywnie skomponowanych zdjęć, bo te najtrwalej zostają w pamięci wyborców. Będzie musiała dostosować się do ich gustów. Jeść podczas ustawek tylko to, co oni lubią. Kibicować tylko ich drużynie piłkarskiej. Ubierać się zgodnie z ich gustami rozpoznawczymi dzięki poufnyim badaniom sondażowym zamówionym przez sztabowców jej partii. Na spotkaniach z wyborcami będzie musiała nucić tylko te piosenki, które oni znają i lubią. Opowiadać jedynie rozumiane przez nich dowcipy. Nienawidzić tych, których oni nienawidzą. Kochać ich idoli, nawet kiedy będą wzbudzać jej obrzydzenie.

Może nawet dojść do tego, że będzie musiała nagrywać regularne podcasty. I tam udawać o wiele głupszą, niż jest. Być nie taką, jaka jest, tylko jakiejś oni oczekują.

Ustawki z mediami nie tylko oglupiają, ale też uzależniają. Zaprasza się media do domu, do życia prywatnego i potem trudno je wyprosić. Zwłaszcza jeśli zbiorą przy okazji intymne, kompromitujące informacje. I potem za brak współpracy karzą ich ujawnieniem.

Współczuję pani Oldze i mojemu imiennikowi Piotrowi. Sprzedali swe prawo do małżeńskiej intymności. Do prywatnej wódki w parku wypitej i zachodu słońca. Sprzedali wolność za mandat poselski. Niepewny zresztą.

PIOTR GADZINOWSKI

Murem od munduru

**Jak to fajnie,
że Putin na nas
nie napadł.**

Mariusz Błaszczak chwali się, że polska armia liczy (wraz z Wojskami Obrony Terytorialnej) 167 tys. osób. Tymczasem Ministerstwo Obrony Narodowej co miesiąc wypłaca pensje ponad 210 tys. ludzi. Na trzech ludzi mających jakieś stopnie wojskowe przypada ponad jedna osoba będąca cywilem.

Oficjalnie nosi to nazwę cywilnej kontroli nad armią. Ta zaś jest ponoć podwaliną demokracji. Zgodnie z jej polską Biblią, czyli konstytucją, zwierzchnikiem sił zbrojnych jest prezydent. **Andrzej Duda** w całym swoim życiu ani dnia nie służył w wojsku. Trzeba jednak pamiętać, że Duda realnie szefowałby armii, gdyby najechał nas którykolwiek z sąsiadów: Putin, Łukaszenka lub Scholz. W czasie pokoju prezydent Rzeczypospolitej sprawuje zwierzchnictwo nad Siłami Zbrojnymi za pośrednictwem ministra obrony narodowej.

W USA jest podobnie. Tylko że ich szef MON nazywa się sekretarzem obrony. Teraz jest nim generał Lloyd Austin, przed nim był generał James Mattis, a przed Mattisem – podpułkownik Mark Esper.

Do koszar żołnierz szedł

U nas na czele MON stoi **Mariusz Błaszczak**. Głównie zajmuje się lataniem po świecie i kupowaniem zabawek militarnych. Gdy zaś tego nie robi, to wizytuje jednostki wojskowe po to, by mieć fajne foty i moc przemawiać. Najczęściej wygłasza mniej więcej coś takiego: „Zapraszam wszystkich tych, którzy jeszcze nie zdecydowali, co będą robić w przyszłości, do przystąpienia do Wojska Polskiego. Przede wszystkim zapraszam do zawodowej służby wojskowej, ale można łączyć aktywność zawodową ze służbą wojskową, WOT właśnie taką propozycję stanowi”.

Z jego życiorysu można się dowiedzieć, że z wykształcenia jest historykiem, a podyplomowo – specem od administracji lokalnej, w której to od studiów piął się w górę, by potem być z zawodu ministrem.

O choćby krótkim epizodzie w armii na stronie ministra obrony narodowej nie ma ani słowa. Gdyby Błaszczak kiedykolwiek odbył służbę wojskową w jakiejś jednostce, to chwaliby się tym na lewo i prawo. Kto wie, może ta jednostka wysyłałaby podobnie Błaszczaka na swoim sztandarze. Niestety. Wychodzi na to, że polską armią, kosztującą podatnika dziesiątki miliardów złotych rocznie, zarządza historyk bez przeszkolenia wojskowego nawet na poziomie podstawowym.

Honory oddał mu podoficer

Wiceministrem obrony narodowej jest **Wojciech Skurkiewicz**. Bryluje on na piknikach wojskowych, gdzie zachęca młodzież do wstępowania do wojska. Ale nie tylko. „Chcemy, aby ci, którzy służą ponad 15 lat, pozostawali w wojsku, potrzeba nam jak największej doświadczonych żołnierzy, bo polskie wojsko bardzo intensywnie się rozwija” – powiada.

Skurkiewicz ukończył Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych na Uniwersytecie Warszaw-

skim w latach 90. Potem był dziennikarzem w radiach katolickich. Ma też doświadczenie w byciu rzecznikiem prasowym Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych w Warszawie. Później już tylko zarabiał na Wiejskiej. O armię nawet się nie otarł, co nie przeszkadza mu zapowiadać obrony „od pierwszego centymetra polskiej ziemi”.

Kariera się otwiera

„Potrzebujemy promować postawy proobronne, które później sprawią, że będziemy mogli mieć chętnych do służby wojskowej, że będziemy mieli młodych ludzi, którzy są gotowi bronić własnej ojczyzny, poczynając od swojej rodzinnej społeczności lokalnej” – gardłował kolejny wiceszef MON, niespełna 40-letni **Marcin Ociepa**. Facet ma interesujące CV, które publikuje, gdzie się tylko da. Z niego wynika, że Ociepa to politolog, specjalność: studia europejskie. Ma dyplom Master of Business Administration (MBA), a także Top Public Executive Krajowej Szkoły Administracji Publicznej oraz IESE Uniwersytetu Navarry (cokolwiek to znaczy). Żeby tam! To także członek Europejskiego Komitetu Regionów w latach 2015–2018, prezes Collegium Nobilium Opoliense, uczestnik International Visitor Leadership (programu Departamentu Stanu USA), podharcistrz Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, odznaczony przez prezydenta RP Srebrnym Krzyżem Zasługi, wyróżniony także m.in. Medalem Politechniki Opolskiej, odznaką Za Zasługi dla Związku Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, tytułem Człowieka Roku 2016 województwa opolskiego według czytelników „Nowej Trybuny Opolskiej”. Tytuło- i nagrodzenia Ociepy świadczą o tym, że facet jest dużej klasy karierowiczem. Zanim zajął się w rządzie PiS wojskiem, był wiceministrem w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii odpowiedzialnym „za sprawy europejskie, innowacje, politykę przemysłową, współpracę międzynarodową i kontrolę obrotu z zagranicą”. Skąd więc i po co, znając mundurowych tylko z telewizji, wziął się cztery lata temu w MON?

Szacunek, powaga

Grono nadzorujących polską obronność wiceministrów dopełnia **Michał Wiśniewski**. Też nie ma jeszcze czterdziestki. Też kończył IESE Business School University of Navarra, która jest widocznie nowym polskim West Point. No

i oczywiście ma wszystkie kursy menedżerskie. Po studiach pracował w korpo i gdyby nie PiS, tkwiłby tam do tej pory. Układy wepchnęły go jednak na karuzelę kadrową, więc od 2015 r. zaliczył robotę w czterech resortach, od rolnictwa po cyfryzację, by od roku móc jeździć po wojskowych spędach i – jak ostatnio

w Kolnie – kończyć przemowy zachęcaniem do wstępowania w szeregi Wojska Polskiego. W których to w całej swojej przebogatej karierze nie był ani dnia.

Kto tam rządzi i wymaga

Takich cywili jak minister i wiceministrowie MON zatrudnia niemal 45 tys. Od zawsze jedni z drugimi się nie dogadywali. Od kiedy jednak nastał PiS, wojna między urzędami a mundurowymi przeszła z fazy partyzanckiej do cyklicznych wymian ognia. Dla ekspertów od wojska to nic nowego. Armia kieruje się zupełnie inną logiką niż reszta instytucji państwowych. Jedyne podobieństwa polegają na tym, że i tu, i tam króluje niekompetentne karierowiczowskie władzupstwo. Oraz strach przed braniem jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Źródła w armii donoszą, że tak samo wyglądają relacje między szefostwem MON a mianowanymi przez to szefostwo najwyższymi dowódcami. Obie strony posługują się niezrozumiałymi dla siebie pojęciami. Skutek jest taki, że

dla wojskowych szefostwo ministerstwa to idioci, a dla MON-owskich wyższych urzędników – trepy to debile.

Jest jednak jeszcze coś, co wierzuszkę MON i wojskowych łączy. Dla obu tych grup najbliższym elementem polskiej struktury organizacyjno-obronnej są szarzy urzędnicy obsługujący tak resort, jak i żołnierzy.

To dlatego ich średnie zarobki są o ponad tysiąc niższe od 4900 zł, które na rękę dostaje świeżo zwerbowany szeregowiec po podstawówce.

Rosyjska rakietka spod Bydgoszczy wykazała, że pisowski MON i Wojsko to dwie mające się w dupie struktury. A cywilna kontrola przez dyletantów to fikcja.

TADEUSZ JASIŃSKI

Wiecej kasy

Mariusz Kamiński
Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji

Wniosek o podwyżkę

Wnoskujemy o zwiększenie uposażenia Marcina Kolasy, majora Straży Granicznej, szefa Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Straży Granicznej.

Obecne uposażenie składa się z podstawy (Kolasa jest zatrudniony przez Komendę Główną Straży Granicznej i odpłacany zgodnie z zasregowaniem). Z tytułu kierowania związkiem dostaje od związkowców 4 tys. zł miesięcznie za „niezależność”. Czytaj: żeby nie chodził na pasku komendy głównej i jej szefa generała Tomasza Pragi, choć Praga jest z Przemyśla i jak wieść niesie, został polecony na generała przez samego Marka Kuchcińskiego.

Kolasa przyjmuje też obrywy od Pragi, niewielkie, bo po ok. 2 tys. zł, na domiar złego płacone niesystematycznie. Przyna Pan, że przyjmowanie nagród przez związkowego bossa od bezpośredniego przełożonego pograniczników, których ów boss ma chronić, to słaby pomysł.

Choćby w celu ucięcia plotek o bieganii Kolasy na sznurku Pragi prosimy o zwiększenie wynagrodzenia podstawowego majora i zakazanie Pradze finansowania jego wacików.

Kolasa upodobał sobie województwo lubuskie. To tutaj, w otoczonej lasami Czernej, obcuje z bliskimi i z przyrodą. Obejścia dogląda sam. W tym roku trochę mu się zeszło. Polska jest krajem frontowym, więc za porządku zabrał się dopiero 5 maja 2023 r.

Na śmieci mógł zamówić kontenery, ale to kasa, a pałą się – jak wiadomo – za darmo. Dymu było mnóstwo, więc służby z Nadleśnictwa Lubusko pomyślały, że jara się las. Przyjechał leśniczy.

– Na prywatnej posesji właściciel wypalał pozostałości roślinne i gałęzie. Powiedział, że jeszcze ze dwie godziny wypalał. Nie było zagrożenia, że się zapali las. Nic nie zrobiliśmy, bo w naszej kompetencji leży nadzór nad lasami, czyli pożary lasów – w takim duchu wypowiadają się w tej sprawie przedstawiciele Nadleśnictwa Lubusko.

Zajęła się wiat. Właściciel wykręcił 112. – Straż pożarna? Potrzebna pomoc, ognisko się rozniosło...

Ochotnicy przybyli natychmiast, ale paliły się już dwie wiaty, słup energetyczny i trawa na posesji. Wezwali kolegów. Kilkudziesięciu strażaków zrobiło wszystko, żeby ogień nie zajął budynku gospodarczego i sąsiednich. Pracowali w aparatach oddechowych, akcja trwała blisko trzy godziny.

Portal Regionalna24.pl odpytał Kolasę na okoliczność pożaru.

– Jest to wypadek – oświadczył. – Nie udzielał żadnych informacji w tej kwestii. Zbyt dużo poniosłem i stresów, i kosztów związanych z tym wydarzeniem – uciął rozmowę.

Wypalanie narusza kilka ustaw: o ochronie przyrody, o lasach, Kodeks wykroczeń, a bywa, że również Kodeks karny. Wypalaczom grozi grzywna, a nawet więzienie – do 10 lat. Grzywna śmiesznie niska, od 20 zł do 5 tys. zł, bo przepis swoje lata ma.

Ale podwyżka, o którą wnosimy, nie jest na grzywnę, tylko na wywóz śmieci. A zamawianie kontenerów to już poważne pieniądze. Średnio 800 zł za sztukę. Jak widać, Kolasy nie stać, bo nie można sobie wyobrazić, że nie zna przepi-



Rys. TOMASZ WINTER

Na granicy polsko-białoruskiej umierają ludzie, a prokuratura nie potrafi ustalić, kto za to odpowiada, choć winnych ma pod ręką.

Rządowa propaganda głosi, że Najjaśniejsza stała się celem brutalnego ataku białoruskiego reżimu. Łukaszenka bombarduje polską granicę islamskimi uchodźcami z Afryki i Bliskiego Wschodu, a bohaterscy funkcjonariusze straży granicznej, narażając życie, dają skuteczny odpór.

„Fala nielegalnej migracji miała być przygotowaniem do wojny. Miała destabilizować sytuację polityczną i społeczną w Polsce i Europie, ale to wy powstrzymaliście tę falę” – powiedział szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji Mariusz Kamiński do strażników granicznych z okazji ich święta, które przypada 16 maja.

Na granicy polsko-białoruskiej zmarło ok. 40 uchodźców. Żaden z nich nie powinien stracić życia, ale funkcjonariusze straży granicznej stosują przestępczy proceder zwany push-backiem. Polega on na tym, że ranni, wycieńczeni i chorzy ludzie, w tym dzieci i kobiety w ciąży, którzy nielegalnie przekraczają granicę i zwracają się o udzielenie azylu, nie są zatrzymywani i umieszczani w ośrodkach dla cudzoziemców, lecz wywożeni w odludne miejsca do lasów, na bagna po białoruskiej stronie granicy.

Sądy już kilkakrotnie orzekły, że stosowanie push-backów jest nielegalne. A skoro tak, to policcy pogranicznicy powinni odpowiedzieć karnie.

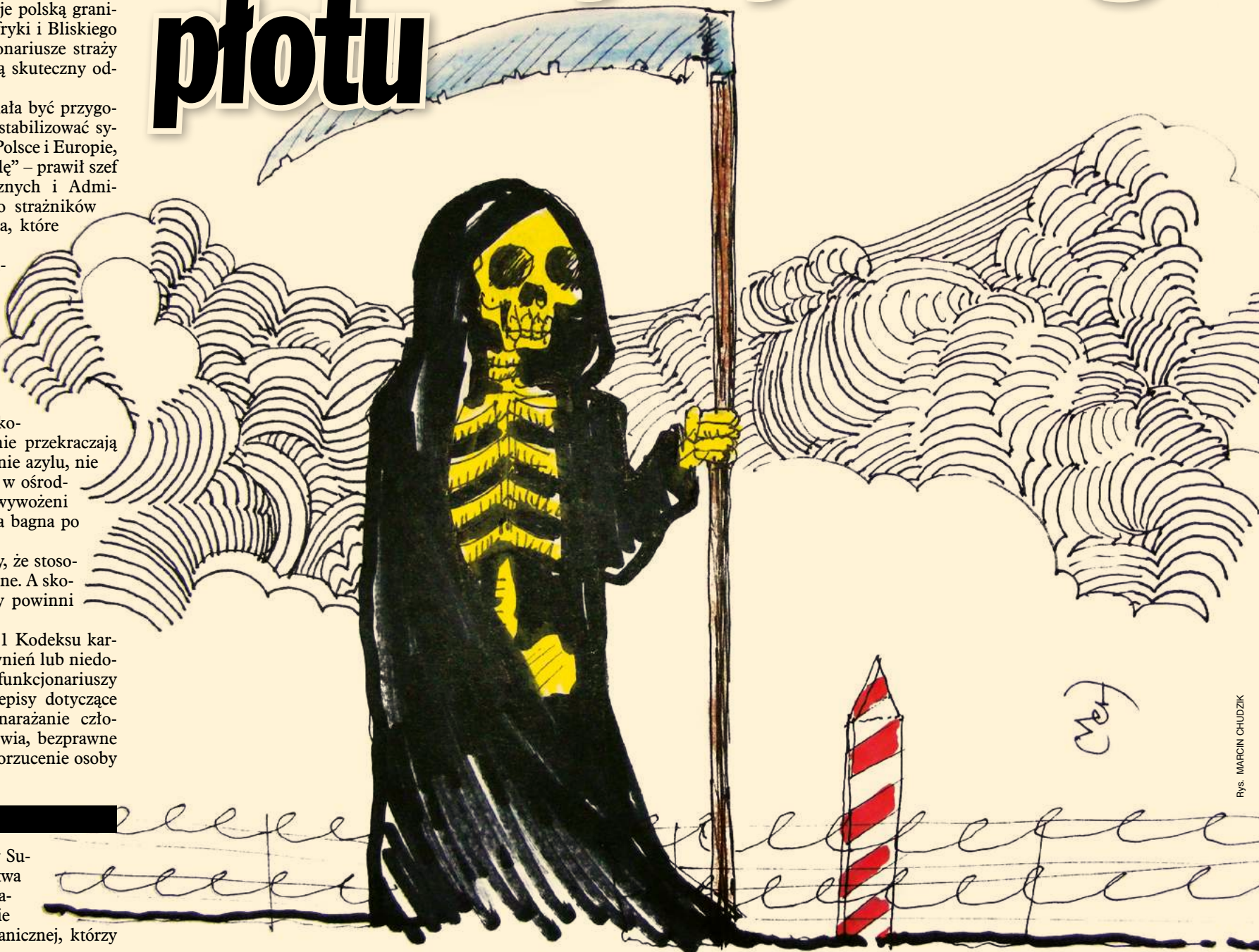
W grę może wchodzić art. 231 Kodeksu karnego, czyli przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariuszy publicznych, a także inne przepisy dotyczące odpowiedzialności karnej za narażanie człowieka na utratę życia lub zdrowia, bezprawne pozbawienie wolności czy też porzucenie osoby małoletniej.

Wychłodził się

W Prokuraturze Okręgowej w Suwałkach, która prowadzi śledztwa w sprawie śmierci uchodźców, zapytałem, dlaczego prokuratura nie ściga funkcjonariuszy straży granicznej, którzy stosują push-backi.

Rzecznik prasowy prokurator Wojciech Piktel nie odpowiedział. Dowiedziałem się za to, że w tamtejszej prokuraturze prowadzone są trzy śledztwa w sprawie śmierci 24 uchodźców w kierunku artykułu 155 Kodeksu karnego, czyli nieumyślnego spowodowania śmierci. Część spraw została umorzona, część jest jeszcze w toku, a pro-

Strażnicy wysokiego płotu



Rys. MARCIN CHUDZIK

Formy okrucieństwa

Raporty z granicy polsko-białoruskiej przygotowywane przez organizacje humanitarne są wstrząsające. Według Grupy Granica tylko w grudniu 2022 i styczniu 2023 r. policcy pogranicznicy zastosowali push-back wobec prawie 300 uchodźców. Część z nich była poddawana nielegalnym procedurom kilkakrotnie. I tak aktywiści otrzymali zgłoszenie od 17-letniej dziewczyny podróżującej samotnie, która relacjonowała, że wywieziono ją trzykrotnie mimo prób o azyl. Podobną relację zdał 16-letni Egipcjanin, który był siedmiokrotnie wywożony do Białorusi mimo wielokrotnie wyrażonej woli o ubieganie się o ochronę międzynarodową. Pozostałe osoby podróżujące samotnie były wywożone nawet po 20 razy. Łącznie w grudniu 2022 i styczniu 2023 r. Grupa Granica otrzymała zgłoszenia o 23 wywiezionych dzieciach i osobach małoletnich, z czego przynajmniej cztery osoby podróżowały bez opieki.

W tym samym czasie 100 uchodźców doświadczyło przemocy towarzyszącej wywózkom ze strony polskich służb. Opowiadali o biciu, groźbach, pryskaniu gazem pieprzowym po twarzy, odbieraniu odzieży i prowiantu, a także niszczeniu i kradzieży telefonów. Zdaniem aktywistów

ne ryzyko stanowi niszczenie telefonów, jako że uniemożliwia wezwanie pomocy i skontaktowanie się z rodziną.

Pozostawieni na pastwę losu uchodźcy cierpią nie tylko z powodu chorób, hipotermii, ale także urazów po próbach sforsowania wysokiego na pięć metrów muru na granicy. Są to m.in. różnego rodzaju złamania, zwichnięcia, głębokie rany. Często obserwowane są także problemy żołądkowe, wynikające z braku dostępu do wody pitnej, a także stopy okopowe, tzn. opuchnięte, przemrożone lub odmrożone, co powodowane jest długotrwałym noszeniem butów w wilgotnym środowisku.

Szukając jest to, że strażnicy graniczni, stosujący przemoc i push-backi wobec uchodźców, wiedzą doskonale, że białoruskie służby również znęcają się nad bezbronnymi ludźmi. Z relacji osób przekraczających granicę wynika, że białoruscy pogranicznicy są wyjątkowo brutalni, np. biją ludzi różnymi ciężkimi narzędziami (pałkami, kijami, metalowymi prętami).

Od początku wybuchu kryzysu humanitarnego straż graniczna wywoziła na Białoruś co najmniej 50 tys. osób. Ile zmarło po białoruskiej stronie, nie wiadomo. Nieoficjalne dane mówią o 200 trupach.

Wzmrożona tendencja

Państwo PiS nie tylko stosuje przemoc wobec uchodźców, ale także represje wobec aktywistów niosących pomoc humanitarną. Przetrzymany w lesie w atmosferze zastraszania i braku informacji, agresja werbalna i przemoc fizyczna to stały repertuar działań funkcjonariuszy straży granicznej, a „od początku roku 2022 zaobserwowano też wzmrożoną tendencję do stawiania aktywistom i aktywistkom (...) poważniejszych zarzutów z Kodeksu karnego, a także wzrastającą agresję i nadużywanie środków przymusu bezpośredniego”.

Tym, którzy publicznie krytykują działania straży granicznej, prokuratura stawia zarzuty „znieważenia polskiego munduru”. Wspecjalizowała się w tym Prokuratura Okręgowa w Warszawie, która skierowała do sądów sześć aktów oskarżenia, m.in. przeciwko aktorce Barbarze Kurdej-Szatan, która nazwała pograniczników „maszynami bez mózgów oraz mordercami”.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

dla Kolasy

sów. I to jest Pana odpowiedzialność, ministrze.

Kolasa jest związkowym bossem drugą kadencję. Jak twierdzi współpracownicy, na oficjalnym posiedzeniu zarządu głównego wręczył współpracownikom kosztowne fajki. – Kilka set złotych sztuka – ocenili związkowcy. – To nie za związkowe pieniądze – uspokoił. – Prezenty ufundowali przyjaciele – wyjął.

Czyli kto? Nikt nie pytał. Gen. Tomasz Praga też nie drgnął, tylko się uśmiechnął i wziął.

A jeśli te prezenty ufundowały bandziory? Moskiewskie onuce? A może sam Władimir Władimirowicz Putin?

Chyba nie musimy Panu tłumaczyć, ministrze, że Kolasa powinien mieć możliwość płacić za prezenty, które rozdaje. Powtarzamy: podwyżka dla Kolasy! Dla dobra Polski!

Nie powinna Panu drgnąć ręka. Przecież to Pana ulubiony major, którego Pan docenia, niestety na razie w sferze niematerialnej. Niedawno wręczył mu Pan Złoty Medal Zasługi dla Straży Granicznej. Ale na razie medal nie jest w Polsce środkiem płatniczym.

Do Kolasy jest wiele pretensji. Nie kiwnął palcem, kiedy koledzy walczyli o dodatki na utrzymanie służbowych psów i koni, które odchodzą na emeryturę. Bo pies to takie samo wy-

POLSKA JEST
NAJWAŻNIEJSZA



Rys. TOMASZ WIATEK

posażenie pogranicznika jak armata. Termin przydatności mija, trzeba wybrakować.

Nie wsparł starań o ubezpieczenie pojazdów służbowych, aby zdjąć odpowiedzialność z funkcjonariuszy, jeśli uszkodzi się je w trakcie działań. Żeby pogranicznik mógł się skupić na pościgu, a nie na trosce o lakier radiowozu. Dlaczego nie wsparł? Jakby funkcjonariusz wiedział, że jest bezkarny, w ogóle nie szanowałby powierzzonego mienia!

Nie ginął się na wschodnią granicę, do funkcjonariuszy przymarzających na froncie wojny z Łukaszenką. No i co? Wystarczy, że Andrzej Duda jeździł.

Co rusz Polska PiS daje znak, że jest gotowa do wojny. Wybiega przed orkiestrę, budząc konsternację Waszyngtonu, Berlina czy Londynu. Niektórych pociąga przenieś muskułów. Z wielkim wyczuciem chwili akurat teraz zmieniliśmy nazwę Kaliningrad na Królewiec...

Straż Graniczna to niesłychanie ważna formacja. Szczególnie w takim państwie jak Polska: frontowym, chętnym do konfrontacji. Dlatego jeszcze raz wnosimy o podwyżkę dla Kolasy.

Funkcjonariusze Straży Granicznej
(nazwiska do wiadomości redakcji) oraz
BOŻENA DUNAT

Nie oddamy cudu Kościołowi



Parczew wzywa! Jedź bronić Jezusa!

rys. MIROSLAW HAJNOS

Polacy są koszmarnie przebadczowanym (nie mylić z przebolczowanym) narodem, trudno się zatem dziwić, że powszednie im praktycznie wszystko. Mnogość afer związanych z rządowym złodziejstwem, nieskończone wiele księżowskich kutasów w nieletnich czy kolejne doniesienia o działwie nabijanej na sztachety płotu lub wrzucanej pod głębogryzarkę przez rodziców nie robią już na nikim wrażenia. Nieco inaczej mają się sprawy z cudami, choć i tych wbrew pozorom jest bez liku.

Cudem jest, kiedy się okazuje, że nastoletnia córka nie zaciążyła z tym dziwnym wujkiem po suto zakrapianych imieninach, które wymknęły się spod kontroli, w kategorii cudu można rozpatrywać zrobienie trasy Warszawa-Poznań za kółkiem, kiedy ma się cztery promile i nie spotkało się patrolu policji. Cudem okazuje się przetrwanie od wypłaty do wypłaty bez pożyczki u lichwiarza. Takie rzeczy zdarzają się codziennie, serio.

Cud niesie obietnice, iskrę nadziei, że może nic się nie spierdoli, że będzie dobrze. Cud jest jak matka, która przytula do piersi i głaszcząc po głowie, szepcze, że jeszcze nie wszystko stracone i jutro może zaświecić słońce. Dlatego kiedy pojawiła się informacja o cudzie w Parczewie, postanowiłam zgłębić temat. Bo tu się, kurwa, nie ma z czego śmiać. Szczególnie że debata na temat parczewskiego cudu może za chwilę przyjąć postać płonącego krzyża.

Jezus Maria! – Jezus

Jak donosi Wikipedia, Parczew to miasto położone na obszarze Równiny Parczewskiej w województwie lubelskim, w powiecie parczewskim, siedziba gminy miejsko-wiejskiej Parczew. Według

danych z GUS z 31 grudnia 2019 r. Parczew liczył 10 648 mieszkańców. W niedzielne popołudnie 14 maja, wpięć przez Parczew, a chwilę później przez Polskę, z prędkością choroby wenerycznej na festiwalu muzycznym przetoczyła się wieść o cudzie: na pniu okazałego dębu stojącego na tyłach bloku przy ul. Spółdzielczej 8 ukazał się Jezus. No, nie dosłownie, to znaczy nie w takiej postaci, jaką znamy z bajek, bo zamiast sympatycznego długowłosego brodacza o ciętym wzroku, w łaczkach i obrusie na ramionach na pniu pojawił się biały łuk, a pod nim kształty przypominające ludzką twarz. Długo nie było trzeba czekać na rozbieżności w świadectwach, bo część świadków twierdziła, że to jednak Matka Boska. Widziałam zdjęcie tego „objawienia”. Nie żebym była wredna, ale dla mnie większym cudem jest fakt, że w blisko 11-tysięcznym miasteczku są tylko dwie Żabki (sprawdziłam na mapie). Jednak żarty na bok, bo sprawa wygląda poważnie.

Conchita?

Przed drzewem natychmiast zebrało się kilkadziesiąt osób, które uznały, że mają do czynienia ze zjawiskiem nadprzyrodzonym. Jakies „nadprzyrodzenie” w tym jest, bo kikut jednego z konarów jest w takim miejscu, że z daleka wygląda na coś pomiędzy niewielkim członkiem a przerostem lechtaczki, ale to oczywiście tylko moja obserwacja. Po pierwszych doniesieniach medialnych rzuciłam z przekąsem, że na okolicznych drogach dojazdowych musi być kompletna pizda, tzn. korek, bo wozy transmisyjne ciągną z najbliższych zakamarków kraju. I wykrakałam. Katolicki kukuruźnik zaczął ostro synergizować. Do miasteczka zaczęli ściągać wierni

i dziennikarze. Z licznych materiałów filmowych dowiedziałam się, że Jezus płakał (o dwunastej), że Matka Boska chce nas przed czymś przestrzec (laicyzacja Polski nie uszła jej uwadze) oraz że to na pewno cud, bo jedna z kobiet, która udzielała wywiadu, jest wierząca, była w Fatimie i Medjugorie, więc zna się na rzeczy. Ja bym z nią nie dyskutowała, bo nawet w Parczewie nie byłam, a co dopiero w tych miejscach świętych, więc wuj się znam. Dlatego z niemalym zdziwieniem przyjąłam do wiadomości oświadczenie ks. Jacka Świątki, rzecznika diecezji siedleckiej, który w rozmowie z lokalną „Współnotą Parczewską” nie tylko poinformował, że wydarzenie nie ma znamion nadprzyrodzoności, ale dorzucił koksu na grillu, porównując wizerunek z drzewa do Conchity Wurst (taka przystojna drag queen z brodą, na pewno każdy pamięta), zwyciężczyni Eurowizji z 2014 r.

Jaruzelski dla naiwnych

Ja jebię, potrójne zaskoczenie! Po pierwsze,

jak bardzo trzeba nie mieć wyczucia, żeby zamiast podchwycić real time marketing – za przeproszeniem – w tak perfidny sposób przybić wiernym piątkę krzyżem?

Po drugie: ks. Świątek machnął, jak mniemam, zupełnie nieświadomie ten sam numer co Wojciech Jaruzelski w 1984 r. w przypadku „cudu w Oławie”. Mowa o kulcie Matki Boskiej, która ukazała się w altanie działkowej pana Kazimierza Domańskiego w 1983 r. Kiedy po roku wielkiej fascynacji zjawiskiem liczba pielgrzymów spadła (a według różnych szacunków przewinęło się ich przez działki około 100 tys.), sam generał Jaruzelski wygenerował nowy ruch w interesie. Na konferencji delegatów PZPR I sekretarz KC wspominał o „tysiącach naiwnych”, co pognali na kolejny „cud” do Oławy. I poszło jak dzik w żółędzie. Bo gdy społeczność kultu ma jasno zdefiniowanego wroga, w tańcu się nie pieści. Wreszcie po trzecie, jakim cudem (ha!) księżulo nie dostrzegł, co się naprawdę święci? Przecież Conchita Wurst/ Matka Boska z domu Maria/ Jezus z Parczewa to wypisz wymaluj Mari, najważniejsze bóstwo w mitologii Basków. Pogańskie, na litość boską! Wedle wierzeń Mari potrafiła przybierać różne postaci, między innymi dębu (!), który był dla Basków drzewem świętym. A to dopiero początek kartoteki, którą mógłby tej szczonej pipie założyć ksiądz Świątek.

Bożkowie ekologizmu

Według badaczy wierzeń baskijskich Mari była władczynią demonów i duchów, personifikacją

wielkości i majestatu gór, boginią przyrody i płodności. Pojawiały się teorie, że imię Mari jest zniekształceniem imienia Maryi, jednak większość naukowców spuliła je z drzewa, twierdząc, że imię Mari jest starsze niż chrystianizacja Baskonii. I chyba poszli słusznym tropem, bo śledząc sposób postrzegania Mari wśród ludów różnych prowincji, można zyskać pewność, że prężny przemysł chrystianizacji próbował przemielić to bóstwo na wióry. Boginię starano się utożsamiać ze złem i Szatanem, przedstawiając ją jako kobietę z kozimi kopytami, a niekiedy opisywano ją jako groźnego i nieprzychylnego ludziom demona, który opętał damską część społeczeństwa. Mari nie miała własnych kapłanów, nie wznoszono jej świątyń. Powiedzono „Jak trwoga, to do Boga”, jak widać, sroce spod ogona nie wypadło, czczono ją tylko – jak bóstwa katolickie – w razie potrzeby, np. dla wyblągania opadów deszczu. Kult Mari niebezpiecznie zalatuje ideologią ekologizmu, przed którą ostrzegają zarówno Kościół katolicki, jak i ministrowie obecnego rządu. „Gazeta Wyborcza” zupełnie nie po chrześcijańsku zwróciła się z prośbą o rozwikłanie zagadki cudownego wizerunku do doświadczanego lubelskiego dendrologa Jerzego Rachwałda. Ten, nie pozostawiając złudzeń, nabił punktów Mari, precyzując, że drzewny fresk jest dziełem głoń, porostów i grzybów. O tym, że niewątpliwie mamy do czynienia z marksistowską ideologią ekologizmu, świadczy również fakt, że drzewo, na którym ukazał się cudowny wizerunek, to dąb czerwony (*Quercus rubra* L.).

Tam Bóg twój, gdzie taca Jego

Mari nie była boginią opiekującą się ludźmi, ale była życzliwa tym, którzy w nią wierzyli i znajdowali się w ciężkiej sytuacji. By pomóc biednym i potrzebującym, zamieniała węgiel w złoto, a strudzonemu podróżnikowi pomagała przebyć najtrudniejsze odcinki drogi – krótko mówiąc, w przeciwieństwie do KK znała marketing, a że reklama dźwięnią handlu, sukienkowi mają się czego bać. Na razie duchowny Świątek zaapelował do wiernych o zachowanie spokoju. Znaczący również, że zakazu modlitw w tym miejscu nie będzie, bo Kościół (w swej nieograniczonej dobroci, jak mniemam) nie wyznacza ani miejsca, ani czasu modlitwom prywatnym. Srutututu, szpula drutu. Wierni są oburzeni brakiem zachwyty i beczelnym porównaniem boskiego wizerunku do drag queen. W jednym z materiałów wideo mieszkanka Parczewa krótko i na temat skomentowała postawę Kościoła: „Księżom zależy, żebyśmy się modlili nie w takich miejscach jak to, tylko w kościołach, bo tam jest taca, a tutaj nie”. Kolejny punkt dla bogini przyrody.

Diecezja siedlecka ma zatem niełatwy żołądź do zgryzienia, bo kiedy fanatycy dębowego kultu urosną w siłę, każdą formę nieprzychylności mogą zechcieć wyrugować z korzeniami.

I na koniec przypomnijmy cytat z powieści Łukasza Orbitowskiego „Kult” poświęconej ukazaniu się Matki Boskiej w Oławie: „Papier na Biblię i banknoty z tego samego drzewa się robi”.

IDALIA DUBICKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Nicole i Austin LeBlanc, katolicka para z Michigan, dowiedzieli się w kwietniu, że ciąża Nicole nie może się skończyć dobrze, albowiem nosi w sobie bliźnięta syjamskie zrosnięte torsami i posiadające jedno serce. Jednak para nie zdecydowała się na przerwanie ciąży, albowiem „Bóg tak pięknie stworzył je w moim łonie i noszenie ich tak długo, jak tylko mogłam, było absolutnym zaszczytem i przywilejem” – wyjaśniła Nicole na Instagramie, gdzie umieściła swoje zdjęcie z mężem i zrosniętymi noworodkami. Bliźniaczki żyły koło godziny, co katolicy małżon-

kowie uznali – i ogłosili w mediach społecznościowych – za „przesłanie wiary i nadziei”. Poinformowali też, że noszenie płodów skazanych na śmierć było „testem wiary”, ale codziennie modlili się wspólnie na różańcu, więc sobie poradzili.

2. Japoński arcybiskup Tarcisius Isao Kikuchi został nowym prezydentem Caritas Internationalis, watykańskiej czapki nad wszystkim Caritasami na świecie. W listopadzie papież Franciszek odwołał poprzednie kierownictwo Caritasu, uzasadniając tę decyzję „niedociągnięciami w zarządzaniu i procedurach Caritas, poważnie naruszającymi ducha zespołu i morale personelu”. Odwołany gensek Caritasu Aloysius John nazwał decyzję papieża „brutalnym skokiem na władzę”. Oskarżył też Watykan o kolonializm – albowiem jest Hindusem.

3. Jason Graber z Nowego Niezależnego Fundamentalistycznego Kościoła Baptystów w Spokane ogłosił, że rodziców, którzy pozwalają dzieciom na operację zmiany płci, należy zabić strzałem w tył głowy,

a następnie powiesić z mostu, żeby „ludzie mogli zobaczyć konsekwencje takiej niegodziwości”. Dla porządku: operacje zmiany płci u nieletnich są niezwykle rzadkie, ale Światowe Profesjonalne Stowarzyszenie Zdrowia Osób Transpłciowych uznaje, że w bardzo szczególnych przypadkach odwołanie transseksualnym nastolatkom (w wieku 15 lub 17 lat) zabiegu może być „nieetyczne i szkodliwe”. Pastor Graber nie zagłębia się w te subtelności, albowiem wie, że to nauczyciele z publicznych szkół namawiają dzieci na transseksualność, żeby „zasadzić w ich sercach głęboką nienawiść do Boga”.

4. Zgodnie z Generalnym Sondażem Społecznym, przeprowadzonym od 1972 r. w całych Stanach – katolicy w USA mają swój Kościół coraz bardziej w dupie. Na przestrzeni półwiecza uczestnictwo w nabożeństwach wśród wyznawców głównych Kościołów protestanckich utrzymywało się na tym samym poziomie, a wierni różnych dziwacznych odmian ewangelikalizmu (takich jak Kościół wspomnianego

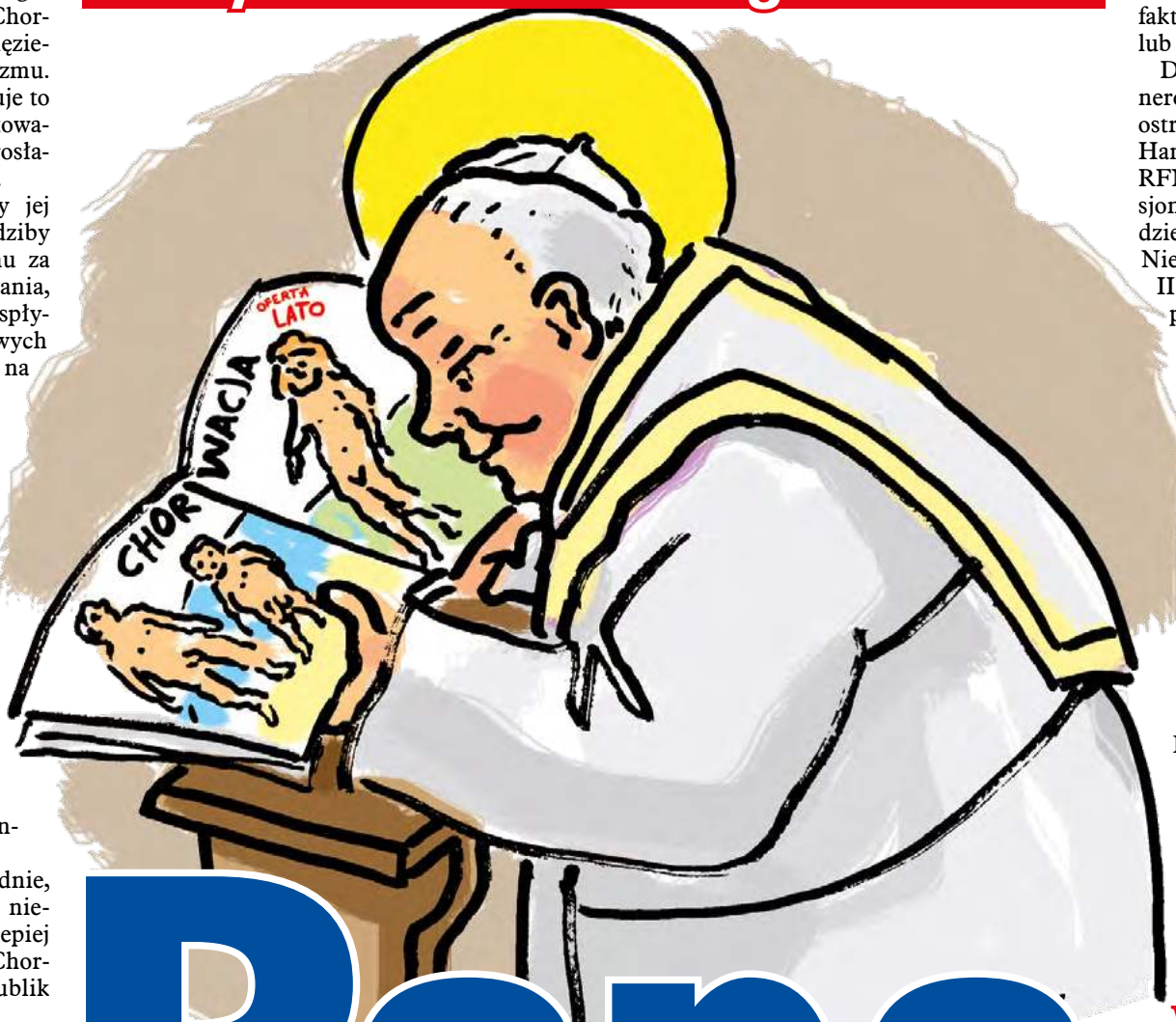
wyżej pastora Grabera) stale zwiększali swoje i dziś regularnie chodzi do kościoła grubo ponad połowa z nich. Tymczasem amerykańscy katole przestają chodzić na mszę: liczba „dominantes” spadła z 50 do 25 proc. Co ciekawe, dotyczy to zarówno demokratów – którzy mogą mieć Watykana – jak i republikanów, którzy podzielają watykańskie uprzedzenia w tych sprawach.

5. Po mszy odprawionej w katedrze w Durango w Meksyku przez lokalnego metropolitę abp Faustina Armendárizo do zakrystii wtargnęli osiemdziesięcioletni, który najpierw zapytał Armendárizo, czy jest biskupem, a potem usiłował dźgnąć go nożem. Biskup ginał się w bok i cios go ominął, co nie powinno być zaskakujące, wzięwszy pod uwagę wiek i kondycję napastnika, ale teraz purpurat opowiada o cudzie. „Bóg, Przenajświętsza Dziewica, Niepokalane Poczęcie i Święci Męczennicy, którzy dziś obchodzą swoje święto, ochronili mnie przed agresją przeciwko

mojej integralności fizycznej” – ogłosił na Twitterze. Nie zastanowił się natomiast, co takiego Kościół kat. zrobił staruszkowi, który odczuł imperatyw zarządzenia biskupa przy świadkach.

6. Adam Vavrick, duszpasterz Świątyni Satanistycznej w stanie Illinois, pozywa Chicago do odwołanie mu prawa do wygłoszenia inwokacji religijnej przed posiedzeniem rady miasta. ŚS to genialna grupa wolnomyślicieli, przedstawiająca się jako Kościół ze względu na amerykańskie równouprawnienie religii, ale nie świątopoglądów. Ponieważ chicagowska rada pozwala różnym wyznaniom na modlitwę przed posiedzeniami, Vavrick chciał wygłosić swoją: „Stańmy teraz, nieugięci i nieskrepowani tajemnymi doktrynami zrodzonymi w strachliwych umysłach w mrocznych czasach. Przyjmijmy lucyferiański impuls, by zjeść owoc z drzewa poznania i rozprzyszczyć nasze błogie złudzenia z przeszłości. Temu, co może zostać zniszczone przez prawdę, nigdy nie należy oszczędzić śmierci. Chwała Szatanowi”.

Watykan i rozbite Jugosławii.



O tragedii bałkańskiej napisano już wiele. Czarna legenda powojennej Jugosławii, kreowana głównie przez Chorwatów i Słoweńców, nazywa ją więzieniem narodów i ostoją serbskiego nacjonalizmu. Nic dalszego od prawdy. Doskonale pokazuje to Marek Waldenberg w świetnie udokumentowanej książce „Rozbicie Jugosławii”. Bo Jugosławia nie tyle się rozpadła, co została rozbita.

Skoro mamy zbrodnię, to poszukajmy jej sprawców. Tropy prowadzą do Bonn (siedziby zachodnoniemieckiego rządu) i Watykanu za czasów Jana Pawła II. Gdyby nie ich knowania, jawne i zakulisowe, Bałkany być może nie spływałyby krwią, nie stały się miejscem masowych czystek etnicznych, morderstw i gwałtów na ogromną skalę.

Zaczniemy jednak od początku, czyli końcówki lat 80. XX w.

Po chuj nam południe?

Jugosławia za rządów marszałka Josipa Broza-Tity – podobnie jak Polska w dekadzie Gierka – zaciągnęła długi w krajach kapitalistycznych. Na przełomie lat 70. i 80. drastycznie skoczyło ich oprocentowanie, co zmusiło Jugosławię do polityki cięć, aby pozyskać twardą walutę – amerykańskie dolary i zachodnoniemieckie marki. Na nieszczęście poszczególne kraje federacyjne cieszyły się dużą autonomią gospodarczą i zaczęły w nich narastać tendencje odśrodkowe.

Po chuj mamy utrzymywać biedne południe, skoro wiadomo, że to banda nierobów i nieudaczników. Sami poradzimy sobie dużo lepiej – twierdzili coraz liczniejsi Słoweńcy i Chorwaci, czyli mieszkańcy najbogatszych republik federacji.

A skoro był popyt, szybko pojawiła się podaż. Nacjonaliści zawsze wyczuwają pismo nosem, gdy pojawia się kryzys społeczno-ekonomiczny i wskazują wrogów. Jak pisał w książce „On History” wybitny historyk marksistowski Eric Hobsbawm, w Europie Środkowej i Wschodniej występowało rozczarowanie przeszłością i teraźniejszością, co sprzyja ksenofobii i nietolerancji: „Zawsze najłatwiej obwiniać obcych”.

Sojusznicy buntowników

W kwietniu i maju 1990 r. w demokratycznych wyborach w Socjalistycznej Republice Chorwacji zwyciężyła skrajnie szowinistyczna Chorwacka Unia Demokratyczna (HDZ). Prezydentem został lider HDZ, Franjo Tuđman. Już od wczesnych lat 70. zaprzeczał on systematycznym zbrodniom chorwackich nacjonalistów (tzw. ustaszów) na Serbach w trakcie II wojny światowej. Jak podkreśla Beverly Crawford w artykule naukowym z połowy lat 90., Tuđman odmówił praw mniejszości 600 tys. Serbów, a pierwsza chorwacka konstytucja naruszyła zasady dotyczące praw mniejszości.

W ślady Chorwacji poszła mała Słowenia. Obie republiki 15 czerwca 1991 r. ogłosiły niepodległość od Jugosławii. Powoływały się na to, że możliwość takiego kroku mają zagwarantowaną konstytucyjnie, nie wspominały jednak, że wymagało to zgody na secesję ze strony pozostałych krajów federacji.

Zbuntowane republiki znalazły potężnych sojuszników – Jana Pawła II, Austrię i prężącą muskuły Republikę Federalną Niemiec (tuż przed zjednoczeniem).

Gwoli ścisłości, nie brak poszlak, że niemiecki wywiad (BND) już w latach 80. działał na rzecz zaostrzenia konfliktów między Zagrzebiem a Belgradem. Jak pisze Waldenberg, „w tym czasie z RFN napływały miałynielegalnie do Chorwacji bardzo znaczne ilości uzbrojenia. Niejasne jest jedynie, czy działało to wszystko za wiedzą rządu niemieckiego”.

Liderzy ÖVP (Austriackiej Partii Ludowej) w końcu 1990 r. mieli zachęcać swych chadeckich kolegów w Lublanie do secesji. Przekonywali ich, że Austria uzna niepodległość Słowenii i spowoduje, że to samo uczynią Niemcy, a może też Włochy i Węgry.

Niemiecki taran

Początkowo kraje Wspólnoty Europejskiej (WE, poprzedniczki UE) były bliskie stanowisku francuskiemu. Paryż chciał zachowania Jugosławii, a przynajmniej pokojowego i cywilizowanego rozwiązania problemu. Jednak niemieccy politycy od lata 1991 r. zaczęli głosić, że to nie tylko niemożliwe, ale i niepożądane. Ze wola secesji wynika z zasady samostanowienia narodów i należy poprzeć dążenia Chorwacji i Słowenii.

23 grudnia 1991 r., tuż po upadku muru berlińskiego, zjednoczone Niemcy ogłosiły jednostronne bezwarunkowe uznanie secesji obu jugosłowiańskich republik. W ten sposób położyły laskę na porozumienie – zawarte pod ich naciskiem – na uznanie niepodległości Chorwacji i Słowenii, jeśli spełnią one warunki cywilizowanego rozstania, nałożone przez WE. Ten krok uruchomił spiralę przemocy, włącznie

z nieuchronną wojną w Bośni i Hercegowinie, zwaną Jugosławią w pigułce. W obliczu polityki faktów dokonanych inne kraje WE poszły mniej lub bardziej niechętnie w ślady Niemiec.

Działania RFN wkurwiły europejskich partnerów. Szef francuskiego MSZ Roland Dumas ostrzegł swego niemieckiego odpowiednika Hansa-Dietricha Genschera, że uznanie przez RFN niepodległości jugosłowiańskich secesjonistów „cofnie Europę o 20 lat”. Prestiżowy dziennik „Le Monde” porównał stanowisko Niemiec w tej sprawie do utworzenia przez III Rzeszę w czasie II wojny światowej „niepodległej” Chorwacji.

Dlaczego Niemcy, od dekad starający się o zacieśnienie politycznej współpracy w jednoczącej się Europie, zdecydowały się na tak jednostronny akt? Miało na to wpływ wiele czynników, włącznie z liczną i głośną mniejszością chorwacką w RFN, składającą się m.in. z emigracji politycznej byłych ustaszów. Jedno z wyjaśnień wiedzie jednak – prostą jak trasa papamobile – drogą do urzędującego ówczesnie w Watykanie Wojtyły.

Papieska szarża

I tu trafiamy do ukochanej przez prezesa Kaczyńskiego Bawarii, w której prym wiodła katolicka partia chadecka, CSU. Genscher mówił o naciskach Watykanu, który aż palił się do uznania niepodległości Chorwacji, ale – aby nie wyjść przed szereg – chciał ją uznać po Berlinie i Wiedniu.

W Stolicy Apostolskiej za czasów JP2 silne było lobby chorwackie, dążące do secesji obu katolickich narodów.

Wojtyła z ręcznie grał na dwóch fortepianach: pokazując raz łagodną twarzyczkę osoby zatroskanej o pokój i dialog, niestosowanie przemocy, prawo narodów do samostanowienia, a zakulisowo wspierając separatyzm chorwacki i słoweński.

25 maja 1991 r. polski papież przyjął prezydenta Tuđmana. Spotkanie, jak czytamy w pewnym chorwackim katolickim czasopiśmie naukowym, „miało ogromne znaczenie dla całego procesu emancypacji Chorwacji”. Tuż przed nim brunatny Franjo Tuđman (późniejszy prezydent Chorwacji) wysłał list do papieża, w którym podkreślał, że w całej swej historii jego kraj pozostał wierny katolicyzmowi. I nie chce mieć więcej nic wspólnego z bezbożną Jugosławią, która jakoby strasznie prześladowała katolików.

29 czerwca 1991 r. Wojtyła podczas modlitwy Anioł Pański zasugerował, komu kibicuje, powiedziawszy, iż „siła nie może być używana do tłumienia praw i uzasadnionych pragnień narodów”. Papież wyrażał swe prochorwackie sympatie okagłymi zdaniami o tym, że każdy naród ma prawo wybrać własną drogę, i oficjalnie wyraził solidarność „ze wszystkimi, którzy cierpią”.

Zapomniane dzieło JP2

Nie jest jasne, czy gdyby przywódca europejscy byli dość zdecydowani, aby nie ulec politycznej grze Berlina, Watykanu i Wiednia, można by zapobiec rozpadowi Jugosławii. Faktem jest jednak, że to na nich ciąży spora odpowiedzialność za legitymizowanie secesji Chorwacji i Słowenii, które pozostawiło na pastwę losu mniejszości narodowe w nowo powstających państwach. Jeśli dodamy do tego brak regulacji kwestii granic, bałkański kocioł musiał wybuchnąć. W jakimś sensie była to kronika zapowiedzianej (i przewidywalnej jak polski episkopat) katastrofy.

Dekadę temu odbyła się w Akademii Obrony Narodowej powszechnie wyśmiewana konferencja „Jan Paweł II a problemy bezpieczeństwa”. Wydało mi się, że w krajach byłej Jugosławii jeśli by się z niej śmiano, to byłoby do śmiechu przez łzy...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

Święty Chorwat polskiego papieża

Kiedy w 1998 r. polski papież beatyfikował chorwackiego abp. Alojzego Stepinaca, pół miliona ludzi, którzy zgromadzili się w chorwackiej Jasnej Górze, sanktuarium maryjnym Marija Bistrica, usłyszało od JP2 pean na cześć błogosławionego. Miał on być „rodzajem kompasu”, cechującym się „kardynałnymi zasadami: wiarą w Boga, szcunkiem dla człowieka, miłością do wszystkich aż do przebaczenia i jednością z Bogiem”.

Jednak prawdziwa historia Stepinaca, zwłaszcza jego postawa w czasie II wojny światowej, nie była tak świetlana, jak przedstawiał to Wojtyła.

Stepinac zrobił oszałamiającą karierę w Kościele – w 1937 r., tuż przed 40. rokiem życia, został arcybiskupem Zagrzebia, jednym z najmłodszych na świecie. Funkcję tę pełnił aż do śmierci w 1960 r. Dla zwolenników to był święty człowiek.

Jak czytamy w tekście Ronalda J. Rychlaka, Stepinac wspierał w 1936 r. pracę komitetu pomagającego żydowskiemu uchodźcom z Niemiec i Austrii. Dwa lata później napisał do księży w Zagrzebiu z prośbą o pomoc prześladowanym uciekinierom. Szacuje się, że dzięki niemu uratowano życie ok. 400 Żydom, za co – już po wojnie – „New York Times” wystawił mu laurkę, bo duchowny „ryzykował życie”. Hitlerowcy nadali mu tytuł „miłośnika Żydów” i niezbyt mu ufali. Stepinac nigdy nie uznał też oficjalnie satelickiego wobec faszystowskich Włoch i Niemiec tzw. Niezależnego Państwa Chor-

wackiego (NPCh), kierowanego przez Ante Pavelicia.

Arcybiskup miał również nieco mniej fajne oblicze, o którym jego apologety pragnęłyby zapomnieć.

Stepinac bezsprzecznie – nawet w okresie największych zbrodni ustaszów – identyfikował się z reżimem NPCh. Tuż po utworzeniu tej hitlerowskiej satelity złożył wizytę Paveliciowi i zapewnił go o oddaniu duchowieństwa katolickiego. W liście pasterskim z 28 kwietnia 1941 r. Stepinac dziękował niebiosom za utworzenie NPCh, a w lutym 1942 r. odprawił mszę w intencji parlamentu chorwackiego, który wydał ustawy rasistowskie. Jakby tego było mało, pełnił funkcję generalnego wikariusza armii: błogosławił oddziały biorące udział w walce z komunistycznymi partyzantami.

Stepinac nigdy nie potępił księży, którzy aktywnie wspierali mordowanie Serbów, prześladowanie Kościoła i duchowieństwa prawosławnego, przymusową konwersję Serbów na katolicyzm. Waldenberg podaje, że zamordowano 300 popów (w tym 5 biskupów) oraz spłodowano lub zniszczono ok. 300 cerkwi i klasztorów prawosławnych. Jakkolwiek w 1943 r. Stepinac w liście do Pavelicia pisał o hańbie, jaką na Chorwatów sprawdza obóz Jasenovac, informując też o nim papieża Piusa XII, nigdy nie potępił zbrodni ustaszów, bo w końcu NPCh to bastion katolicyzmu.

Mało przekonujący jest argument obrońców chorwackiego abepa i Piusa XII, jakoby zmuszo-

nym okolicznościami do zachowania wstrzeźliwości w sprawie NPCh. Watykan nie uczynił zadość prośbie Stepinaca o przybycie do Zagrzebia nuncjusza apostolskiego i nie uznał formalnie państwa chorwackiego. Jednak papież, czytamy w „Rozbiciu Jugosławii” Marka Waldenberga, skierował „do Chorwacji legata pontyfikalnego Giuseppe Ramiro Marconego, a Pavelić został przyjęty przez papieża na audiencji już miesiąc po objęciu władzy. Co więcej, w 1943 r. przyjęty on został ponownie przez Piusa XII. Nie są znane żadne dokumenty, które wskazywałyby na to, że Pius XII potępił w czasie audiencji zbrodnie popełniane przez ustaszowców bądź poruszył ten temat”.

Po tym dawna ambiwalencja, ostrożność i delikatność w kontaktach z władzą Stepinaca się ulotniły. Marszałek Tito próbował zerwać kontakty Kościoła z Watykanem i napotkał zdecydowany opór abepa Zagrzebia. W 1946 r. sąd za współpracę z NPCh skazał go na 16 lat ciężkich robót, ale po 5 latach wypuszczono go i przebywał w areszcie domowym.

JP2 wyniósł Stepinaca na ołtarze za jego rzekome męczeństwo, a nade wszystko nieprzejednany antykomunizm, będący głównym celem ataku za pontyfikatu polskiego papieża. Katolicy nacjonalisci w Chorwacji czczą abepa Zagrzebia, np. nazywając jego imieniem dziesiątki ulic w kraju. To taki ich kardynał Wyszyński i Sapieha w jednym, młot na bezbożną kolumnę i żarliwy narodowiec.

Z.J.

Gdyby Kopernik wiedział, że jego imię ozdobi ulice, szkoły, statki i zakłady cukiernicze, byłby zdziwiony.

Ponieważ celebруемy 550. rocznicę narodzin Mikołaja Kopernika, a zarazem 480. rocznicę jego śmierci (21 maja) – o czym już się jakoś nie wspomina – przyjrzyjmy się nie tyle samemu Kopernikowi, ile tzw. rewolucji kopernikańskiej, która rozpoczęła się napisaniem przez Kopernika traktatem „O obrotach sfer niebieskich”.

Mikołaj Kopernik, gdyby ożył, zapewne byłby bardzo zdziwiony swoją wszechświatową sławą, zdobytą (cyt. za prof. Jerzym Centkowskim) „odkryciem stanowiącym podstawę całej współczesnej wiedzy o wszechświecie”. Nie rozumiałby powodów, dla których spiedestalizowaliśmy go, wydrukowaliśmy na banknotach, wybiliśmy na monetach, nadrukowaliśmy na znaczkach pocztowych. Nazwaliśmy jego imieniem fabrykę ciastek, port lotniczy, lożę masonską, centrum handlowe, osiem statków, 30 hoteli, krater na Marsie i jeszcze jeden na Księżycu, planetoidę, gwiazdę w gwiazdozbiorze Raka, a mój sąsiad – psa.

Wielkanoc w zimie

Pierwszym fałszem owej rewolucji kopernikańskiej jest sam termin „rewolucja” w tym utrwalonej już związku frazeologicznym, gdyż geocentryzm (Ziemia w środku) umiera powoli, a heliocentryzm (Słońce w środku) nadal się rodzi. Można przyjąć, że oba procesy odbywające się równolegle trwają do dzisiaj, czyli ponad 500 lat. Rewolucja to nie jest zatem właściwe słowo.

Nie było też tak, że Kopernik już w kołysce był zafascynowany kosmosem i wyczekiwał przez cały słoneczny dzień, aż pojawi się gwiazdziste niebo. Ścieżka kariery wskazuje raczej, że w ogóle się tymi sprawami nie interesował. Początkowo studiował matematykę. Następnie prawo. W końcu medycynę, gdzie nauczył się takich nonsensów jak flebotomia, czyli pseudolecniczego upuszczania krwi, kurowania syfilisu rtecją, a epilepsji – przez wiercenie dziur w głowie. No i przede wszystkim jazdy konnej. Szybki koń był w XV w. istotnym atrybutem każdego lekarza, pozwalającym uciec przed gniewem żądającej wyjaśnień rodziny pacjenta-denata. Kopernik uzyskał z medycyny nawet licencjat, który przy współczesnej wiedzy nie pozwalałby mu być nawet pielęgniarką. Uznano by go za osobnika śmiertelnie niebezpiecznego dla każdego chorego.

Zainteresował się astrologią (bo to była astrologia, a nie astronomia w dzisiejszym rozumieniu) na zlecenie papieża, który nie mógł się nadziwić, że dzień równonocy wiosennej, bardzo ważny w roku kościelnym, przesuwają się niebezpiecznie w kierunku lata. Gdyby sprawy pozostawił samym sobie, Święto Zmartwychwstania Pańskiego mogłoby w końcu wypaść w zimie. Na to oczywiście papież zgodzić się nie mógł. W efekcie dociekań, które trwały ponad 80 lat (13 pontyfikatów), kalendarz juliański zastąpiono gregoriańskim z datą 29 lutego pojawiającą się co cztery lata. Zmartwychwstanie przestało się przesuwać.

Kopernik był żywo zainteresowany problemem dlatego, że znał osobiście jednego z papieżów. Około 1500 r. pracował w kancelarii watykańskiej. Zauważył i podnosił jednak przy okazji, że istnieje ważniejszy szkopuł. Jak najbardziej naukowy, logiczny, racjonalny system geocentryczny, w którym nieruchoma Ziemia była centrum wszechświata, co zaświadczał sam Pan

Bóg w Piśmie, nie tłumaczył, dlaczego pędzący po sferze niebieskiej Mars widziany z Ziemi w pewnym momencie się cofa. Nie zwalnia, tylko wyraźnie przesuwa się do tyłu!

Wiedza bezużyteczna

Wróćmy na chwilę do astronoma, którym tytułowany jest Kopernik. To, co współcześnie nazywamy astronomią, w czasach kopernikańskich i przedkopernikańskich byłoby wiedzą zupełnie bezużyteczną. Sztuką dla sztuki. Po co badać coś, z czego nie ma korzyści? Natomiast z obecnie tak rozumianej astrologii korzyści były ogromne. Badacze nieba rzekomo przewidywali przyszłość. Każdy szanujący się władca miał na dworze astrologa-proroka. Sama astrologia była nauką królewską, a stawianie horoskopów intratnym zajęciem. Błędnie zatem uważamy dziś Pitagorasa, Kopernika, Heweliusza, a nawet Keplera za astronomów. Byli przede wszystkim astrologami.

Książd-astrolog Kopernik, przystępując do prac koncepcyjnych – jak byśmy to obecnie nazwali – nad architekturą kosmosu, przyjął fundamentalne założenie, że Słońce znajduje się w centrum wszechświata. Na pewno było ono błędne, jeżeli chodzi o ten wszechświat. Słońce jest w centrum naszego Układu Słonecznego, który leży gdzieś na peryferiach tego, co nazywamy wszechświatem.

Pozostaje pytanie, skąd przyszedł Kopernikowi do głowy ów pomysł o centralnym miejscu Słońca. Hipotezy są dwie. Dowiedział się o tym z dzieł Arystotelesa, Platona lub Heraklidesa, wspominających innych wcześniejszych astrologów, jakim podobna myśl przeszła już przez głowę. Lub – co bardziej prawdopodobne – Kopernik po prostu zgadł.

Ad hoc, czyli roboczo, bez dowodów i racjonalnych przesłanek założył, że inne planety okrążają Słońce. Równie dobrze mógłby przyjąć, że centrum jest na Księżycu lub Saturnie, i prowadzić na tej podstawie obserwację, dojść do matematycznych wniosków, które mniej więcej uprawomocniałyby założenie. Ale i w gruncie rzeczy nie gorszych niż te, którymi argumentował swój heliocentryzm.

Kopernik wiedział, że jego hipoteza jest dziurawa, a obliczenia wielce niezadowalające. Wiedział również, że jego racjonalne i logiczne dywagacje heliocentryczne wcale nie są lepsze od

racjonalnych i logicznych wywodów twórcy geocentryzmu Ptolemeusza.

Skoro Ziemia obraca się wokół własnej osi, dlaczego kamień rzucony z wieży spada dokładnie prostopadle? Że Ziemia nie jest kulą, widać, kiedy jest się w górach. Pospolita empiria, doświadczenie milionów ludzi, będące obecnie również zasadniczym instrumentem naukowym, wskazuje, że to Słońce wschodzi i zachodzi, zataczając okrąg nad Ziemią.

Na podstawie ówczesnej wiedzy (ale również terminologii) nie sposób było wspomnianych problemów wyjaśnić. Nie istniało na przykład pojęcie ruchu pozornego. Newton nie rozumiał kinematyki, bo jeszcze się nie urodził. A Ziemia rzeczywiście jest nadal bardziej kulopodobna niż kulista.

Od „Komentarza” do apopleksji

Kopernik wiedział, że tego nie wie, a nawet uważał, że może się mylić. Brak pewności siebie był racjonalnie uzasadniony. Dlatego pierwsze dywagacje spisuje w zupełnie nieznanym dziele pod tytułem „Komentarz”. Gdy odkryto je 335 lat po śmierci Kopernika, nie było pewności co do prawdziwego autora.

W 1539 r. z „Komentarzem” zapoznaje się niejaki Jerzy Retyk (niemiecki uczonej o podobnych kwalifikacjach jak Kopernik). Uznaje, że heliocentryzm jest genialny, wbrew odczuciom samego Kopernika. Zachęca go do uporządkowania przemyśleń i obliczeń w formie nadającej się do publikacji. Kopernik jest sceptyczny i niepewny, zwłaszcza że przypuszczenie, iż Retyk nie tyle zakochał się w jego pracy, ile w nim samym, jest uzasadnione. Retyk był homoseksualistą.

Retyk po przetrwaniu koncepcji heliocentrycznej astrologa z Fromborka pierwszy opisuje i upublicznia jego pracę pod własnym nazwiskiem w abstrakcie pod tytułem „Narracja pierwsza z ksiąg o obrotach Mikołaja Kopernika”. Zwięzłość, jasność wywodów, poprawność językowa powodują, że świat nauki niemieckiej interesuje się heliocentrycznym pomysłem. Zachęcony przychylną – a w każdym razie nie wrogą – reakcją, mając gwarancję finansowania przedsięwzięcia ze strony biskupa warmińskiego Jana Dantyszka, Kopernik decyduje się wydać rękopis.

Zadanie to powierzono Andrzejowi Osjanderowi z Norymbergi. Ten

zmienia oryginalny tytuł dzieła Kopernika „O obrotach” na „O obrotach sfer niebieskich”. To akurat dobrze. Przekręca nieco nazwisko autora, nazywając go Mikołajem Kopernikiem Turyńskim (Torinensis – od Turynu, miasta we Włoszech) – co już niedobrze. Dodaje własny wstęp napisany bez konsultacji z Kopernikiem: „Zawarte w książce hipotezy, aczkolwiek pomysłowe i godne podziwu, nie mają większego związku z rzeczywistością, co więcej, są wręcz absurdalne” – to bardzo źle.

Kiedy Kopernik w 1542 r. po raz pierwszy widzi swoje nie swoje dzieło, dostaje apopleksji (nazywanej obecnie udarem mózgu). Na wpół sparalizowany przebywa w wieży katedry we Fromborku. Pół roku później umiera nieszczęśliwy, oszukany i nieświadomy ani swojego przewrotu, ani geniuszu, ani sławy, ani w ogóle tego, czy to, co stworzył, jest cokolwiek warte.

Jak Kopernik został Polakiem

Nic się nie dzieje przez 50 lat. Urodzony 28 lat po śmierci Kopernika, ale już dojrzały Johannes Kepler, zrabiający pisanie horoskopów, po raz kolejny zagłębia się w dzieło Kopernika. Prawidłowo miarkuje ważkość pomysłu, że Słońce może być w centrum sfery niebieskiej. Dostrzega też wadliwość obliczeń przedstawionych w dziele „O obrotach sfer niebieskich”, opartych na błędnym założeniu Kopernika, że planety poruszają się po sferycznych płaszczyznach idealnej powierzchni kuli. Wpada na pomysł – a mówiąc kolokwialnie: zgaduje – że trzeba ponowić obserwacje i obliczenia przy założeniu, że nie są to sfery, ale liniowe orbity o kształtach zbliżonych do elipsy. Kepler zaświadcza, że pomysł był dziełem boskiego objawienia. „Harmonia świata”, dzieło, w którym zawarte są cztery fundamentalne prawa zwane jego nazwiskiem, ostatecznie opisujące ruch planet wokół Słońca, dopełnia hipotezy Kopernika, ale jednocześnie unieważnia wartość kopernikańskich obliczeń.

21 lat po śmierci Kopernika rodzi się Włoch Galileusz. Początkowo uważa, nie znając jeszcze pism Kopernika, że Venus na pewno nie obraca się wokół Ziemi oraz że nasza sfera niebieska nie jest centrum wszechświata, ale elementem Drogi Mlecznej, galaktyki jednej z wielu, z których składa się wszechświat. W końcu

pisze obszerną rozprawę znaną jako „Dialog o dwu najważniejszych układach świata, ptolemeuszowym i kopernikowym”, przedstawiając w miarę obiektywnie mocne i słabe strony obu stanowisk.

100 lat po śmierci Kopernika rodzi się Newton, który zrozumiał zasady grawitacji. Pozwala to wyjaśnić problem tego kamienia, który spada pionowo, zamiast przesuwać się o kąt równy obrotowi Ziemi w czasie lotu z góry na dół (powinno to być około 13 km).

Mikołaj Kopernik, który podpisywał się „Niklas Kopernigk” (opcjonalnie Coppernigk), stał się Polakiem 300 lat po śmierci, w roku 1843, kiedy niejaki Jan Baranowski przetłumaczył na język polski dzieło „De revolutionibus orbium coelestium” („O obrotach sfer niebieskich”).

To on pierwszy spolszczył imię i nazwisko do obecnie uznawanej formy. Polskość ta nie jest jednak tak zupełnie pewna. W 1843 r. Polska wcale nie istniała.

Stuprocentową w kategoriach naukowych pewność co do prawdziwości heliocentryzmu do uzyskalismy w rezultacie pomyślnie zakończono eksperymentu, jakim było pierwsze całkowicie udane lądowanie na Marsie bezzałogowego ładownika NASA Phoenix w 2008 r. Tyle że badania przeprowadzone przez amerykańską rządową Narodową Fundację Naukową (NSF) w 2014 r. wykazały, iż 26 proc. Amerykanów uważa, że Słońce obraca się wokół Ziemi. Według sondażu Rosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej (VTSIOM) z 2011 r. 32 proc. Rosjan jest tego samego zdania. Razem 132 mln ludzi. W Polsce lepiej nie robić takich badań. W każdym razie rewolucja kopernikańska nadal trwa. Do zwycięstwa jest jeszcze ho, ho!

ROBERT JARUGA

Sejm – ledwo co – na wniosek Prawa i Sprawiedliwości przyjął uchwałę w sprawie upamiętnienia ostatniego komendanta głównego Narodowych Sił Zbrojnych podpułkownika Stanisława Kasznicy w 75. rocznicę jego stracenia.

Uchwała ta wieńczy trwający od lat proces ewolucji polityki historycznej PiS od kultu Armii Krajowej ku apoteozie Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Ewolucji zainicjowanej przez Lecha Kaczyńskiego i kontynuowanej po jego śmierci, a motywowanej dostosowywaniem obrazu historycznych korzeni PiS do realizowanej polityki.

Trwające od 1990 r. dyskusje i przygotowania do budowy muzeum powstania warszawskiego uległy zdecydowanemu przyspieszeniu, gdy w 2002 r. prezydentem Warszawy został Lech Kaczyński. Obiecał on powstańcom, że za dwa lata, w 60. rocznicę powstania, muzeum zostanie otwarte. Zdecydował o przeznaczeniu pod budowę obszernego terenu po dwóch nieczynnych elektrowniach warszawskich tramwajów. Zapowiedź została zrealizowana – w przeddzień 60. rocznicy wybuchu powstania prezydent Warszawy otworzył muzeum.

Muzeum nadano z założenia kształt edukacyjno-propagandowy, a nie naukowy. Zadbano o bazę dla modnych obecnie rekonstrukcji, łącznie z wybudowaniem odpowiednich kanałów itp. Obiekt szybko zdobył wielką popularność, zwłaszcza wśród młodzieży, oraz duży szacunek żyjących jeszcze weteranów. Wyglądało na to, że kult powstania i AK w rodowodzie historycznym PiS został mocno ugruntowany. Jak się okazało, tylko na krótko. W 2010 r. prezydent Lech Kaczyński złożył na ręce marszałka sejmiku projekt ustawy o ustanowieniu Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych jako święta państwowego, które będzie obchodzone 1 marca każdego roku. Uzasadnienie głosiło, że ustanowienie święta „jest wyrazem hołdu dla żołnierzy drugiej konspiracji oraz świadectwem męstwa, niezłomnej postawy patriotycznej i poświęcenia do tradycji patriotycznych”. O święto to ubiegał się od dawna prezes IPN Janusz Kurtyka. Inicjatywę Lecha Kaczyńskiego po jego śmierci podjął Bronisław Komorowski i 3 lutego 2011 r. sejm uchwalił stosowną ustawę. Dwa lata wcześniej prezydent Kaczyński odznaczył pośmiertnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski Stanisława Kasznicę, mimo iż jeszcze w ONR szokował on skrajnymi sympatiami faszystujących i programów odzydzenia Polski.

Kultu buntowników...

Już wówczas w publicystyce ostrzegano, że ta nowa inicjatywa będzie kolidować z kultem AK, gdyż żołnierze powojennego podziemia rekrutowali się głównie z buntowników, którzy po powstaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej pozostali w konspiracji i w oddziałach leśnych wbrew rozkazowi i apelowi naczelnego wodza gen. Władysława Andersa i jego przedstawicieli na kraj. Przywódcy rządu emigracyjnego, tracącego wtedy władzę, chcieli wygasić w kraju walkę zbrojną z nową władzą, aby uniknąć zbędnych w tej chwili ofiar i zachować siły oraz broń na bliski – jak się spodziewali – wybuch trzeciej wojny światowej. Apelu tego nie wysłuchały przede wszystkim oddziały leśne i konspiracje pozostałe po NSZ (niezależne od władz emigracyjnych i im niechętne), a z podziemia poakowskiego te, które się wycofały z Kresów i nie uznawały kierownictwa struktur z dawnej Generalnej Guberni. W rezultacie to nowe podziemie, o którym mowa w ustawie o dniu żołnierzy wyklętych, różniło się zasadniczo od AK. W połowie po prostu rodowodem, a w całości brakiem subordynacji wobec władz emigracyjnych. Ponadto, co oczywiste, przyświecała mu nie dawna akowska ideologia dwóch wrogów, lecz tylko jednego – radzieckiego.

Cieężar gatunkowy w składzie osobowym i w ideologii przesunął się z AK w stronę NSZ. Nie niepokoiło to przywódców PiS, a nawet chyba było po ich myśli. Stąd preferencja dla NSZ

Jak topniała miłość PiS do tradycji Armii Krajowej.

Kaczyński adoptuje antysemitę

PAMIĘTAJCIE!
GINIECIE WEDŁUG
WZROSTU!



rys. TOMASZ WATKIN

w polityce odznaczeniowej. A także takie gesty jak złożenie przez premiera Mateusza Morawieckiego podczas pobytu na konferencji rozbrojeniowej w Monachium wieńca na grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Wywołało to protesty międzynarodowe i oburzenie w Izraelu ze względu na żywą jeszcze pamięć o kolaboracji tej brygady z SS.

...i faszystów

W okresie wojny sprawy tak się ułożyły, że w Londynie z rządem na uchodźstwie współpracowały centralne władze Stronnictwa Narodowego, jakie się we wrześniu 1939 r. ewakuowały z Warszawy. Ich przedstawiciele wchodzili do rządu. Natomiast w kraju w obozie narodowym rej wodziła grupa Szaniec wywodząca się z radykalnego skrzydła Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR). Przywódców tej grupy pod koniec życia Piłsudskiego osadzano w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Pod jej wpływem powstały w 1942 r. Narodowe Siły Zbrojne. Uznawały one rząd na uchodźstwie, ale rywały z Armią Krajową, której nie chciały się podporządkować, i wchodziły z nią w konflikty. Jednak pod naciskiem Komendy Głównej AK, zabiegającej o podporządkowanie sobie wszystkich „partyjnych” formacji wojskowych, a popieranej w tej sprawie przez rząd w Londynie, rozpoczęły się na wiosnę 1943 r. rozmowy scaleniowe. Były trudne, wielokrotnie zawieszane i wznowiane. Ostatecznie doprowadziły do podpisania w marcu 1944 r. umowy o scaleniu. Przetrwiała ona niespełna dwa miesiące. Została zerwana przez NSZ, w których doszło do rozłamu. Mniejszość, zwana od tego momentu NSZ-AK, pozostała w scaleniu, a większość – i to znaczna – zwana NSZ-ONR, zachowała niezależność

i weszła w nasilający się konflikt z AK. Obie grupy zwalczały się, dochodziło do mordów. Zginął jeden z komendantów głównych NSZ. Z drugiej strony, narodowcy spiskowali przeciw demokratycznie nastrojonemu akowcom, a zdarzały się też przypadki denuncjowania wobec Niemców działaczy AK pochodzenia żydowskiego (prof. Marceli Handelsman).

Różnice były znaczne.

NSZ-ONR zmierzał do utworzenia po wojnie dyktatorskiego polskiego państwa katolickiego, był zdecydowanie antysemitą, a po bitwie stalingradzkiej – jawnie antyradziecki. Nie wykluczał też współpracy z Niemcami hitlerowskimi.

Według prof. Rafała Wnuka, w przeciwieństwie do ugrupowań politycznych i formacji zbrojnych wchodzących w skład Polskiego Państwa Podziemnego, NSZ-ONR zamierzał budować w Polsce państwo totalitarne, a nie demokratyczne. Wcale nie broił ciągłości II RP, a wprost przeciwnie – robił wiele, by na gruzach

przedwojennego systemu zbudować nacjonalistyczną monopartyjną dyktaturę. Stawianie znaku równości między AK i NSZ-ONR jest manipulacją sugerującą, jakoby ta ostatnia organizacja była częścią składową państwa podziemnego. Nie była.

Szkodliwy „patriotyzm”

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemię polskie dowództwo NSZ podjęło przygotowania do ewakuacji swoich sił na zachód, na tereny wyzwolane przez Anglików i Amerykanów. Tylko część miała zostać w kraju i prowadzić wojnę z ZSRR i komuną. Ostatecznie ewakuowała się z Polski, przy pomocy zresztą hitlerowskiego SS, jedynie najlepsza jednostka NSZ, Brygada Świętokrzyska, a z nią lub w ślad po niej – prawie całe kierownictwo NSZ. Reszta pozostała rozproszona w powojennym podziemiu. Ku adopcji tradycji tej właśnie formacji, antydemokratycznej i antysemitkiej oraz radykalnie antykomunistycznej, stopniowo zbliżało się PiS. Krok za krokiem.

Wreszcie sprawa ostatnia, ale wcale nie mniej ważna. Kult żołnierzy wyklętych propagował szkodliwy model patriotyzmu. Bezmyślny i stracony. Wnikliwą analizę tego modelu zawarł prof. Andrzej Romanowski w kilku szkicach opublikowanych jeszcze w 2011 r. Według propagowanych w tym modelu zasad „po roku 1945 trzeba było walczyć do ostatniego Polaka. A to już jest postawa, której – za Dmowskim i jego »Polityką polską« – nie sposób określić inaczej niż antynarodowa”.

PiS niedawno proponował, aby zasady tego patriotyzmu utrwalić w świadomości poprzez uchwałę ku czci podpułkownika Stanisława Kasznicy, ostatniego komendanta głównego NSZ, straconego 12 maja 1948 r. z wyroku sądu wojkowego.

Sąd ten wyrządził Kasznicy jako człowiekowi wielką krzywdę i niesprawiedliwość, ale jednocześnie go nobilitował politycznie. Przypisał mu rolę, jakiej w rzeczywistości nie odgrywał.

Był on bowiem tylko pełniącym czasowo obowiązki komendanta głównego NSZ w czasie, gdy organizacja już się rozpadła, a jej kierownicy aktywni w większości wyemigrowali. Kasznica hołdował poglądom skrajnie antydemokratycznym i antysemitkim. Potraktowany został okrutnie. Należy pochylić głowę nad jego cierpieniem, ale nie wolno akceptować tych antynarodowych poglądów.

Bywało, że sejm zdominowany przez PiS takie uchwały przyjmował przez aklamację. Tym razem się podzielił. Uchwałę poparło 303 posłów – w całości kluby PiS, PSL i Konfederacji. Przeciw głosowało 44 posłów Lewicy i 30 z innych ugrupowań. Wstrzymało się od głosu 74 posłów PO (większość), a kilkudziesięciu posłów nie wzięło udziału w głosowaniu. Ta ostatnia opcja zasługuje na uwagę. Opozycja demokratyczna jako całość postąpiłaby rozsądnie, wybierając ją właśnie. Odmówić legitymizowania skrajności przez odmowę udziału w debacie i głosowaniu. Oświadczyć: niech będzie wiadomo, że to solidaryzowanie się z poglądami faszystującymi i antysemitkami obciąża sumienie PiS i jego akolitów, a nie sejmiku.

M.Z.

REKLAMA

TRYBUNA
Wiemy lepiej!

W numerze:
Michał Piękoś
Izabela Szolc
Zuzanna Dąbrowska
Jerzy J. Wiatr
Xavier Woliński
Piotr Ikonowicz
Tomasz Miłkowski
Tadeusz Klementewicz
Jarek Ważny
Piotr Gadzinowski

W Twoim kiosku nie ma Trybuny?
Poproś sprzedawcę, niech ją zamówi

Ważna sytuacja! INTELIGENCJA POGRZEBIE DEMOKRACJĘ!

www.trybuna.info

PROF. PIOTR KIMLA
TEFLONOWOŚĆ PiS

TAJEMNICE KONTRAKTÓW NA ŚWIATŁOWODY

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ
SENIORZY – NIEDOCENIANY ELEKTORAT

CELEBRYCI ROZPIJAJĄ POLAKÓW

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

ZABÓJCZE SMS-y
KARAĆ BEZMYŚLNYCH KIEROWCÓW

PiS palcem po mapie.

Zmory z Breslau i Królewca

Kaliningrad ma zniknąć z map. Przynajmniej polskich. Nie, nie planuje się, aby był miejscem wymiany atomowych ciosów między Rosją a NATO, co marzy się niektórym idiotom. Po prostu działająca przy głównym geodecie kraju komisja zajmująca się standaryzacją nazw zagranicznych uchwaliła, że dla miasta Kaliningrad zalecana jest wyłącznie polska nazwa Królewiec, a dla obwodu kalinińskiego – obwód królewiecki.

Mapowanie świata

Minister rozwoju i technologii – nie zdziwię się, gdy ktoś pierwszy raz słyszy o takim resorcie – Waldemar Buda wyjaśnił sprawę w tonie nacjonalistyczno-martyrologicznym: „Nie chcemy w Polsce rusyfikacji i dlatego podjęliśmy decyzję o zmianie nazywania w naszym rodzimym języku Kaliningradu i obwodu kalinińskiego. Nazewnictwo nam narzuconemu i sztucznemu, które nie jest związane z naszą historią. Fakt nazwania dużego miasta położonego blisko naszej granicy imieniem M.I. Kalinina, czyli zbrodniarza współodpowiedzialnego m.in. za wydanie decyzji o masowym wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu w 1940 r., budzi w Polakach negatywne emocje”.

Rosyjscy historycy mogą być dumni, że nasi rządzący docenili jakąś zapomnianą postać z czasów radzieckich. Ale sprawa jest poważniejsza, bo mapy i mapowanie zawsze były sprawą na wskroś polityczną i przedmiotem nieraz zażartych walk na polu znaczeń, które albo wyprzedzały walki zbrojne, albo były ich pokłosiem.

Pomyślmy chwilę – każdy z podstawówki czy szkoły średniej zna mapę polityczną Polski (z podziałem na województwa), Europy i świata. A po-

dnik zerowy w londyńskiej dzielnicy Greenwich wyznaczyli geografowie Imperium Brytyjskiego u szczytu jego potęgi w 1884 r. Na chińskich mapach zawsze w centrum są Chiny, zwące siebie Państwem Środka.

Czyja władza, tego nazwa

Prawda jest taka, że wiele nazw krain geograficznych, państw czy nader ważnych miast, niekiedy mających – jak w przypadku Bliskiego Wschodu – tysiące lat udokumentowanej historii, zmieniało swoje nazwy w zależności od tego, kto nimi władał. Świeżym tego przykładem było krótkie, choć burzliwe istnienie w poprzedniej dekadzie terrorystycznego tworu zwanego Państwem Islamskiego Iraku i Al-Sham (dawną nazwą Syrii).

Weźmy częsty kierunek wyjazdów turystycznych – potężny Stambuł (po turecku Istanbul). Przez 2700 lat było to greckie Bizancjum. Potem rzymska: Augusta Antonina, Drugi Rzym, Nowy Rzym, wreszcie Konstantynopol. Ta nazwa uchowała się do końca Imperium Osmańskiego, potem oficjalnie nadano miastu nad cieśniną Bosfor obecną nazwę. Kemaliści wkurwieni nazywaniem go Konstantynopolem zaapelowali prawie sto lat temu do rządów zachodnich o nieużywanie uprzedniej nazwy.

A propos Turcji – rok temu ogłosiła ona, że nie chce być znana międzynarodowo jako Turkey, lecz Türkiye. A to dlatego, że „turkey” po angielsku to nie tylko indyk, lecz także slangowe oznaczenie kogoś głupiutkiego lub sprawy, która się rypla. Uzasadniono to tym, że nowa nazwa najlepiej „reprezentuje i wyraża kulturę, cywilizację i wartości narodu tureckiego”.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Komuniści też zaznaczali, niczym psy moczem, swój teren. Sankt Petersburg został Piotrogradem, potem Leningradem. Skromne Chemnitz w Saksonii stało się Karl-Marx-Stadt. ZSRR nie pozwoliło, aby hitlerowcy zawładnęli Stalingradem. W Polsce Katowice krótko były Stalinogrodem, lecz wraz z końcem polskiego stalinizmu wróciły do starej nazwy.

Są zmiany nazw oczywiste, jak te wynikające z dekolonizacji, zerwania z dawnymi metropoliami, zwykłe zniechęceniami. Znaczące, że rosyjska agresja na Ukrainę spotkała się też z odporem językowym. Miasto Kijów, znane na świecie jako Kiev, stało się – pod wpływem Zełenskigo, skarżącego się na zruszczoną wymowę nazwy stolicy ukraińskiej – Kyïvem.

Gabinet osobliwości geograficznych

Czasem problem tkwi w podobieństwie nazwy w języku angielskim. W 2018 r. Swaziland zmienił nazwę na Eswatini (w języku lokalnym znaczącą „kraj Swazich”), stara nazwa bowiem była mylona ze Szwajcarią (Switzerland).

Amerykańskie miasteczko Hot Springs (stan Nowy Meksyk) miało nazwę wywodzącą się od gorących źródeł o właściwościach podobno leczniczych. Dokładnie w połowie XX w. zmieniło nazwę na Truth or Consequences (Prawda lub Konsekwencje). A to dlatego, że popularny program radiowy o tej nazwie, przyciągający co sobotę dziesiątki milionów słuchaczy do radiodiodników, ogłosił, że pierwsze miasto amerykańskie, które będzie nosiło miano Truth or Consequences, dostąpi nie lada zaszczytu. Przez 50 lat raz do roku będzie z niego nadawana na żywo audycja.

Czasem nazwy miast są po prostu kupowane. Tak było z Halfway (Oregon), które otrzymało forszę od sklepu internetowego Half.com za przyjęcie jego nazwy.

Wycieczka do Breslau

Oczywiście pisowcy, zmieniając nazwę Kaliningradu, podkreślili, że – jak czytamy na oficjalnej stronie rządu – „zmiana ma charakter symboliczny i nie odnosi się do przynależności państwowej obwodu królewieckiego”. Rozumiem, że skoro naród się bogaci – ten pisowski z pewnością, pozdrawiamy Obajtka! – i ogólnie jest w pytle, to (skoro nie mamy pilniejszych problemów) można zająć się tak palącą sprawą jak zmiana polskiej nazwy rosyjskiego miasta, założonego w XIII w. przez Krzyżaków.

Jednak u nacjonalistów, jak zwykle, trudno odnaleźć krztynę rozumu i minimum konsekwencji. Po jaki chuj obrażają się na nazywanie Wrocławia z niemiecka Breslau, skoro po 1989 r. przez to miasto

przewinęły się w celach sentymentalno-turystycznych tabuny dawnych mieszkańców urodzonych właśnie w Breslau? Przecież to przejaw „rusyfikacji”, wszak Festung Breslau zdobyto i przekazano Polakom z winy kogoś po stokroć gorszego od jakiegokolwiek tam Kalinina – samego generalissimusa Józefa Stalina.

Chodziłam do szkoły za komuny, ale mam nadzieję, że teraz nie uczą, że tzw. ziemie odzyskane zawdzięczamy nie Armii Czerwonej, lecz żołnierzom wyklętym...

Choć znając Czarnka, nie jestem tego taka pewna.

K.K.

ETYKA BEZBOŻNA

Ktoś się wspina, aby spać mógł ktoś

Wszystkich nas poruszyła śmierć wybitnego sportowca, jednego z czołowych alpinistów świata, Kacpra Tekielego, męża Justyny Kowalczyk. Zginął przygnieciony lawiną piękny charakterem i ciałem młody mężczyzna, który wedle statystyk powinien żyć jeszcze pół wieku. I to żyć szczęśliwie, bo miał wszystko, co do szczęścia człowiekowi potrzebne. Po co się drapał na te góry? Na co mu to było? Czy ojciec rodziny ma prawo ryzykować własne życie dla sportu? W końcu nie ma żadnej konieczności ani nawet potrzeby, aby wciąż przemierzać alpejskie ściany starymi i nowymi drogami. Dla kogo się to robi, jeśli nie dla siebie?

Rzadko się zdarza, żeby etycy krytykowali himalaizm czy alpinizm. U nas się jednak zdarzyło. Jeden z najbardziej znanych polskich etyków, prof. Jacek Hołówka z UW, w 2014 r. wydał „Gazecie Wyborczej” wywiad, w którym oskarża wspinaczy o egoizm i niefrasobliwość, a właściwie to nawet gorzej: o narcyzm, pychę i brak odpowiedzialności. Jego zdaniem wspinacze budują sobie swój własny równoległy świat, lekceważąc prawdziwe życie. Zjeżdżają z gór do swych rodzin tylko po to, by przygotować się do następnej wyprawy. A tam oddają się brawurowym, ryzykanckim praktykom, popisują się, rywalizują, hodują własne infantylne ego i poczucie wyjątkowości. W górach tworzą sobie sztuczne problemy, które nie są żadnymi problemami, i wyznaczają coraz to nowe wspinaczkowe zadania – dla przygody, dla sławy, dla poczucia

euforii. Ryzykują życie, wiedzą niepoważną egzystencję, podobną żołnierstwu i awanturnikom, a w dodatku wciągają w to młodszych. Niby to tylko sport, a jednak z każdej strony czyha prawdziwa groza i prawdziwa tragedia, którą powoduje nie los, nie wróg, lecz ten, kto się o to sam prosił, zamiast siedzieć w domu. Gdy zaś dochodzi do tych sytuacji dramatycznych, wymagających wielkiej odwagi i poświęcenia dla ratowania kolegów, to wspinacze nierzadko zawodzą. Niezłomny człowiek gór w jednej chwili może stać się złamanym moralnie i winowajcą. W dodatku wszystko to z czasem staje się w coraz większym stopniu działalnością zarobkową, igrzyskiem dla mas i marketingiem sprzętu sportowego. Od czasu do czasu w tym medialnym górskim spektaklu ktoś ginie, a to napędza zainteresowanie branżą.

Znam kilku zawodowych himalaistów i wiem, że ten obraz jest mocno przesadzony. Są w nim jednakże ziarna prawdy. Zapewne bywa różnie i wiele zależy od trudno uchwytnych dla laika szczegółów. Narcyzm i brawura to grzechy przydarzające się sportowcom częściej niż pracownikom biurowym. Są jednakże i tacy sportowcy, którzy wspinają się względnie bezpiecznie, wykazując się i rozsądkiem, i pokorą wobec gór. Kochają wspinanie, lecz na dole prowadzą prawdziwe, a nie tylko udawane życie. Nie są obsesjonatami, nie dają się wciągnąć w niebotyczną spiralę sportowej rywalizacji, gdzie w ostatecznym rozrachunku nie liczy się nic oprócz sukcesu i pokonania

konkurentów, a wpisane w sport ryzyko śmierci niemal znika z horyzontu świadomości.

Jacek Hołówka trochę prowokował, żeby wstrząsnąć sumieniami wspinaczy. Może wydawało mu się, że dzięki temu kogoś uratuje. Ba, może i uratował! Rzetelny rachunek etyczny, jaki ludzkość mogłaby wystawić alpinistom i himalaistom, powinien jednak uwzględnić i to, co daje światu eksploracja gór. I choć z pewnością moglibyśmy się bez niej obejść (przecież szukanie guza w górach znane jest dopiero od niespełna 300 lat), to jednak

w naszą cywilizację wpisana jest nieznana wcześniej ambicja opasowywania wszystkiego, co tylko się da – czy poznawczo, czy technicznie. Musimy zajrzeć wszędzie, poznać i zrozumieć wszystko. Po co? Bo takie już z nas wścibskie i ambitne stworzenia.

JAN HARTMAN



Rys. JANUARY

Podprowadzające wyprowadzić!

Czy można sobie wyobrazić sport bez pięknych kobiet? Można, ale po co?

Pogoń za poprawnością polityczną, zresztą ze wszech miar słuszną, zapęcza nas czasem w ślepy zaułek. Tak jest z rzekomym uprzedmiotowianiem kobiet w sporcie. Działacze występujący w szatach obrońców cnót niewieścich (wcale nie od ministra Czarnka, z zupełnie innej opcji) przepędzają piękne dziewczyny ze sportowych aren.

Na pierwszy ogień poszły hostessy podczas wyścigów kolarskich i grid girls w Formule 1. Czystki na wyścigowym torze Formuły 1 zaczęły się już w 2018 r. Z torów usunięto grid girls (w wolnym tłumaczeniu: dziewczyny z prostej startowej), które przez władze tej najbardziej luksusowej konkurencji motoryzacyjnej uznane zostały za „przestarzałą praktykę, kłócącą się ze współczesnymi normami społecznymi”. To jasne, że grid girls przykuwały oczy urodą, a stroje miały ją eksponować. Pełniły jednak przy tym praktyczne funkcje: wskazywały zawodnikom miejsce na starcie, a parasolkami chroniły ich w słoneczne dni przed upałem lub przed deszczem, gdy padało. Jeśli ktoś szuka erotycznych wrażeń w dobie internetu, odnajdzie je bez trudu. Nie musi płacić bajońskich sum za wstęp na trybuny ani łapczywie wpatrywać się w ekran telewizora. Erotycznych i pornograficznych stron w sieci jest bez liku i ewentualnie tam można mówić o uprzedmiotowianiu kobiet, ale przecież także mężczyzn, bo oni również w tego typu produkcjach występują.

Krzyk dziewczyn

Przeciw usunięciu z torów Formuły 1 grid girls najgłośniej wcale nie protestowali mężczyźni, którym jakoby odebrano erotyczną zabawkę. Najwięcej krzyku narobiły same dziewczyny. Zabrały głos na Twitterze. Kilka wpisów: „Przez te feministki straciłam pracę”, „Kocham to zajęcie. Jestem szanowana i z dumą reprezentuję swój zespół”, „Nigdy nie czułam się niekomfortowo”. Były już grid girls podkreślają, że zajęcia tego podejmowały się dobrowolnie i nikt ich do niczego nie zmuszał. Ale daremne żale. Stało się.

Jeszcze nie tak dawno na podium kolarskich wyścigów pojawiały się dwie cudownej urody hostessy (zazwyczaj blondynka i brunetka), po czym składały na policzkach zwycięzcy pocałunek uszminkowanymi ustami. Szminka nie była czymś nieistotnym, bo zostawał po niej wyraźny ślad na policzkach kolarza, a fotoreporterzy mieli udane zdjęcia, i to bez większego wysiłku.

Nie wszystkim jednak takie zdjęcia się podobały. Wojująca marokańska feministka, mieszkająca we Francji Fatima Benomar, założycielka organizacji Les effrontés-es, ma taki pogląd: „Szampański prysznic, koszulka dla zwycięzcy, skąpo ubrana kobieta, która całuje kolarza. Zdjęcia tych scen, które pojawiają się na okładkach różnych gazet na całym świecie, utrwalają subtelną formę seksizmu. Hostessy pełnią funkcję dekoracji i są nagrodą dla rowerzystów”.

Ponieważ takich głosów pojawiało się więcej, zaczęło się rugowanie pięknych hostess z podium kolarskich wyścigów. Owszem, całkiem nie zginęły, pojawiają się czasem, ale ubrane jak menedżerki z korporacji, stoją daleko od zawodnika chyba po to, żeby żadnej nie przyszło do głowy jakieś całowanie.

Przy kolarskich wyścigach spędziłem kawał życia. Dziwne by było, gdybym z niektórymi zawodnikami nie nawiązał bliskich kumpłowskich, a nawet przyjacielskich stosunków. Tych, z którymi byłem najbliżej, pytałem, czy czasem nie drgnie im coś w spodenkach, gdy całują ich w policzek tak śliczne laski. Oczywiście traktowali pytanie jako

żart, zresztą ja także w żartach je zadawałem. Stając na podium po kilkugodzinnej morderze na szosie, kolarz ma naprawdę inne myśli w głowie niż seks. Są to radość, duma, wdzięczność dla zespołu, ale w żadnym przypadku nie ruchanie.

Z hostessami tak otwarcie oczywiście nie rozmawiałem, bo jestem z natury nieśmiały wobec kobiet. Z wywiadów, jakich udzielały, wiem jednak, że nie czuły się w żaden sposób wykorzystywane ani poniżane. Przeciwnie, były dumne, że są tak blisko ważnego wydarzenia sportowego, a moment składania pocałunku na policzku zwycięzcy był jednym z przyjemniejszych ich obowiązków.

Cnota na żużlu

Tu dochodzimy do trudnej kwestii. Hostessy miały obowiązek nie tylko asystować na podium dla zwycięzców, ale także brać udział w bankietach dla działaczy organizowanych przez gospodarzy etapów. Tu zdarzały się zgryzty, gdy panowie w garniturach poczuli się nazbyt swobodnie. Doświadczone hostessy umiały jednak w porę zgasić te same zapędy i szybko uczyły tej sztuki debiutantki.

Ciekaw jestem, czy dżentelmeni, którzy podczas bankietów obleśnie zalecali się do tych dziewczyn, teraz stoją w awangardzie walki z ich uprzedmiotowianiem.

Po co hostessy zgłaszają się do obsługi kolarskich wyścigów? Raczej nie dla pieniędzy. Owszem, na Tour de France, Giro d'Italia czy Vuelta a España można coś zarobić (choć nie tak wiele, jak niektórzy sądzą), ale na mniejszych wyścigach płacą grosze

Przeciwnie, rywalizują o tę funkcję (przecież nie posadę), bo chcą.

Kto miał okazję obejrzeć Grand Prix Polski w speedwayu na Stadionie Narodowym w Warszawie, musiał zauważyć brak istotnego elementu widowiska. Na tor nie wychodziły podprowadzające. To najbardziej widoczny efekt działania nowego właściciela cyklu Grand Prix (który wylania mistrza świata), czyli Discovery Sports Event.

Podprowadzające to dziewczyny, które ustawiają się przed torami, a każda trzyma w rękach tablicę w kolorze kasku, w jakim pojedzie motocyklista. Oczywiście zawodnicy i bez podprowadzających wiedzieliby, gdzie ustawić się na starcie, ale trudno wyobrazić sobie ten sport bez pięknych dziewczyn wychodzących na tor. Tablice zawierają też ostrzeżenia oraz reklamy.

Czym naraziły się podprowadzające nowym właścicielom Grand Prix? Też mi pytanie! Oczywiście chodzi o godność kobiet. Podprowadzające – w odróżnieniu od grid girls – nie są nigdy skąpo ani wyzywająco ubrane. Ale i tak przeszkadzają obrońcom cnót niewieścich. Co ciekawe, dziennikarka współprowadząca Grand Prix Marcelina Rutkowska-Konikiewicz, zanim zaczęła pokazywać się przed kamerami jako dziennikarka, najpierw trafiła przed nie w roli podprowadzającej Apatora Toruń. Nie starczyło cywilnej odwagi, żeby publicznie ująć się za swoimi byłymi koleżankami? Albo chociaż słówkiem wspomnieć o ich nieobecności? Niechby pani szefowie pilnowali raczej, żeby kamerzyści i realizatorzy nie gubili z obrazu żużlowców, a nie cnót podprowadzających.



RYŚ: TOMASZ WATER

Startu, a zwycięzczyńni zyskuje w mediach społecznościowych większą popularność niż niejedną żużlowiec. Jeśli chodzi o mnie, to nie mogę się zdecydować, czy ładniejsze są podprowadzające Wilków Krosno, czy Stali Gorzów Wlkp. I wcale się nie wstydzę, że z przyjemnością na nie patrzę. Podobnie jak nie ma chyba niczego poniżającego dla pięknej Pauli z mojej ulubionej restauracji w tym, że zawsze pysznie smakuje mi lunch podany z jej rąk. Ani Paula, ani podprowadzające przecież nagle nie zbrzydzą, żeby zadowolić ekstremistów poprawności politycznej.

Co roku każdy klub organizuje casting nowych podprowadzających. Chętnych nie brakuje, a raczej przeciwnie. Podczas castingu oceniana jest nie tylko uroda, ale także motywacja kandydatek.

Nie słyszałem, żeby dziewczyny się skarżyły. Raz tylko w jednym klubie zagroziły strajkiem. Było to podczas pandemii, gdy z braku kibiców na trybunach kluby ledwo wiązały koniec z końcem. Podprowadzającym nie kupiono nowych butów, które szybko się niszczą na żużlowym torze. Zagroziły, że w rozpadającym się obuwiu nie będą występować.

Pieniądze prędko się znalazły. Gdyby podprowadzających zabrakło, tak jak zabrakło ich podczas Grand Prix Polski, klub złamałby regulamin. W najlepszej żużlowej lidze świata funkcjonuje zapis, że podprowadzających musi być co najmniej pięć, określa też, jak mają być ubrane i jak się zachowywać. Nawiasem mówiąc, regulamin PZMot ustala nawet takie szczegóły jak liczba butelek szampa (raczej wina musującego) podawanych zawodnikom na podium podczas mistrzowskich zawodów. Aż strach o tym pisać, bo niektórzy zawodnicy nie mają ukończonych 18 lat, a podawanie alkoholu niepełnoletnim jest karalne. Zaraz znajdzie się jakiś obrońca trzeźwości...

Tradycja poszła się...

Szwedzki piłkarz ręczny Tobias Karlsson bardzo niepochlebnie wyraził się o czirliderkach towarzyszących meczom w jego dyscyplinie. To znaczy: nie ma nic przeciw dziewczętom, ale całe zjawisko nazwał uprzedmiotowaniem kobiet. Poparło go całkiem sporo sportsmenek i sportowców, ale nie czirliderki. Dla nich akrobatyczny taniec w przerwach zawodów to pasja, której poświęcają mnóstwo czasu podczas żmudnych treningów, a nawet dyscyplina sportu. Nie bez powodu czirliderki rozgrywają swoje mistrzostwa i coraz głośniej zgłaszają olimpijskie aspiracje.

Nie mam pojęcia, dla czego normalny człowiek, niezależnie od tego, czy jest kobietą, czy mężczyzną, miałby odwracać wzrok na widok wykonujących pokaz czirliderek z poczuciem wstydu, że patrzy na uprzedmiotowanie płci pięknej.

Że są skąpo ubrane? Trudno, żeby akrobatyczne układy wykonywały w spódnicach za kolana.

Przeciwnikom instytucji czirliderek może dać do myślenia fakt, że w zespole Cheerleaders FLEX Sopot funkcjonuje grupa dziewcząt na wózkach inwalidzkich, które tańczą przed zawodami na Ergo Arenie. Też je będziecie krytykować? One są godne podziwu, bo przełamują swoje słabości, podobnie jak pełnosprawne dziewczęta zdobywające umiejętności podczas żmudnych akrobatycznych treningów.

Nie zapominajmy także o tradycji. Kapitanowie futbolowych drużyn wymieniają się przed meczem proporczykami. Zawody piłkarzy ręcznych, koszykarzy, hokeistów czy siatkarzy ubarwiają czirliderki, a na stadionach żużlowych są podprowadzające. Taka tradycja, a ona w sporcie jest ważna.

Kampania przeciw uprzedmiotowaniu kobiet w sporcie trwa w najlepsze. Ciekawe, czy doczekamy się kampanii przeciw zakłamaniu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰, (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta

(koszt połączenia wg taryfy operatora):

• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803

• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,

3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,

L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 24.05.2023 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Ziobro zdumiał się, gdy spostrzegł, że jest w wołowej, a nie we własnej skórze. Najpewniej zdumiałby się mniej, gdyby przeczytał opowiadanie Franza Kafki o tym, że Gregor Samsa przeistoczył się w robala, ale cóż – Ziobro nie przepadał za literaturą... Był zwierzęciem (ha!) politycznym, prędzej zatem pogodziłby się z przemianą w świnię. Ale w krowę?

Potrząsnąwszy łbem, Ziobro próbował powiedzieć, co myśli o premierze Morawieckim. Nie powiedział ani słowa. Ba, nie wydał ryku! Jedyne, co mu się udało, to kwęknąć, a potem pomarudzić.

Podniósł się z posłania ze słomy. Niepewnie stanął na czterech nogach. Znowu potrząsnął łbem.

Ciekawe, czy mam rogi? – zastanowił się. I co robi Kaleta? Zwariował już do reszty? Nadal kręci się z podniesionymi rękami dookoła własnej osi i chce rozmawiać z sokiem z buraka, udając Ziemię? A Ozdoba?

Gdyby Ziobro uczył się w szkole biologii, wiedziałby, że jest parzystonogowy, roślinożerny i przeżuwający. Ma żołądek składający się ze zwacza, czepca, ksiąg oraz trawieńca. Gdyby miał lustro, może dowiedziałby się, czy ma również rogi...

Nieskomplikowana umysłowość Ziobry znów skupiła się na Morawieckim. Wyzwoliła agresję. Ziobro miał ochotę wziąć rozbieg i trzasnąć premiera w ten jego proeuropejski czerep. Ziobro bódłby Morawieckiego, aż zostałaby z niego mokra plama.

Zamierzał wyzwać premiera od brukselskich durniów, ale zamiast wiązanki wulgaryzmów wydał z siebie cichy pomruk: – Mruuu...

Ucieszył się. Poczł zew jakiejś odwiecznej siły, która w nim się obudziła. Bódłby i mruczał, kopałby ziemię racicami i by ryczał. Właśnie: ryczał!

– Muuuu! – ryknął, na początku nieśmiało i niezbyt gromko, ale potem coraz głośniej i bardziej stanowczo: – Muuuuuu! Muuuuuu! Muuuuuu!

Nie zauważył dwóch wysłanników premiera, którzy wemknęli się do obory, ciągnąc za sobą mobilną dżorkę elektryczną.

– Premier miał rację, gdy mówił, że ta krowa dużo ryczy – powiedział jeden.

– Ciekawe, czy rzeczywiście mało mleka daje? – zapytał drugi.

Obydwa ze zdziwieniem zauważyli, że wskazana przez Morawieckiego krowa ma bardzo dziwne wymię: składające się z zaledwie jednego bardzo małego strzyku.

Ale co było robić? Wysłannicy premiera założyli na ten mizerny strzyk kubek udojowy, włączyli pompę podciśnieniową, a po kilku sekundach wsłuchali się w rozpaczliwy krowi ryk.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

GOŚKA DANISZEWSKA
wreszcie zgodziła się
z **AGNIESZKĄ WOŁK-ŁANIEWSKĄ**:
wiosna w tym roku jest
do dupy. Wołk ma to gdzieś,
bo jedzie do Tunezji.

Daniszewska: „Zimny maj”
– śpiewała cudna pod każdym
względem Kora...

Wołk-Łaniewska: „Koty śpią,
miasto śpi”?

– Co do miasta, to nie wiem,
ale koty rzeczywiście jakieś
ociężały. A Kora była piękna
i zdolna. I ten cudny głos. I ten
oddech.

– Masz na myśli romans
z „Psem”?

– Oj tam, każda kobita ma
w swoim życiorysie dziwne ro-
manse. Ty nie masz?

– No mam, niejedną, ale mar-
szałek Terlecki? Grubo...

– On wtedy jeszcze nie był
marszałkiem. I nie był w PiS-ie,
przypomnę ci.

– Bo PiS-u nie było...

– Piękne czasy. Wracając do
Kory: pamiętam, że na pewną
naszą imprezę przyszły z Hanką
Bakułą w gorsetach. Ubrane jak
bliźniaczki i obydwie w szpil-
kach. Zryły nam trawnik jak
dziki i zawróciły wszystkim fa-
cetom w głowach.

– Kiedyś to się ludzie bawili...

– Jakaś ponura się zrobiłaś.
– A nie, tak tylko poczucie prze-
mijania mnie czasem dopada.

– A ja teraz mam śmieszna
przygodę damsko-męską.

– Opowiadaj!

– Od jakiegoś czasu mam bra-
nie jako wdowa. Ale nie to jest
dziwne, bo przywykłam.

– A ja chyba zdążyłam odwyk-
nąć.

– Zostań wdową, zobaczysz...

– Najlepiej po milionerze. Ale
ten statek, zdaje się, odpłynął
dawno temu...

– Spróbuj, mówię ci, zabawnie
jest. Baby szaleją. Kolesie nie od-
bierają telefonów. Oddzwaniają,
kiedy słodkie żony wyjeżdżają lub

wychodzą. Wtedy

dostają esemesa:

„Gośka, wybacz,
ale mam w domu
wariatkę”. A oni
chcą po prostu po-
gadać. Tak jak kie-
dyś.

– Znaczący nie o cho-
robach?

– Jakich znowu cho-
robach?

– Ostatnio zauważyłam,
że bardzo wiele konwersa-
cji ze znajomymi dotyczy
chorób. I leków. Szczegół-
nie na zgałę...

– Wołku, ty się na-
prawdę bardzo starze-
jesz. Weź się za sie-
bie.

– Wiesz, rozmo-
wa o lekach na zga-
gę wydaje się względnie
bezpieczna.

– A jakie niby są niebezpiecz-
ne?

– Nie żebym sądziła, że je-
stem w jakimś centrum zainte-
resowania służb, ale ostatnio
zauważyłam, że moja bate-
ria w telefonie wystarcza na
pół dnia. Więc myślę sobie, że
chłopaki z Agencji Wywiadu
już naprawdę nie wiedzą, kogo
warto słuchać. Panowie i panie!
Zwłaszcza panie, bo to ponoć
kobiety robią...

– Co?

– Podstłuchy. Ja naprawdę nie
mam nic ważnego do powiedze-
nia. Szkoda wysiłku. Najwyżej
usłyszycie, że facci to fiuty. Jak
byście tego same nie wiedziały.
Żadnych poważniejszych tajem-
nic nie posiadam, słowo honoru.

– To je na pewno przekona.

– Zmieniając temat...

– Nareszcie.

– Czyż nie oczarował cię pre-
mier Morawiecki, kiedy postano-
wił zbliżyć się do ludu?

Dialogi dam w drodze do kościoła



– Nie wiem, postanowiłam
nie włączać telewizora.

– I co będziesz robić? Czytać
książki?!

– A co?

– Nie po polsku. Najnowszy
raport Biblioteki Narodowej
wykazuje, że w 2022 roku czytel-
nictwo wróciło do zdrowego po-
ziomu sprzed pandemii. Znaczą-
co: równo dwie trzecie Polaków nie
przeczytało ani jednej książki.

– A w pandemii?

– Pojawiło się niezdrowe zain-
teresowanie lekturą. Liczba nie-
czytających spadła do zatrważa-
jącego poziomu 58 procent. Toż
to zgroza, żeby ludność tyle czy-
tała, jeszcze sobie jakichś bzdur
do głowy nabija. Na szczęście
liczba tych, którzy przeczytali

siedem książek lub więcej, utrzy-
muje się na stabilnym poziomie
poniżej 10 procent. W zeszłym
roku to było siedem.

– Rozumiem twój niepokój,
to rzeczywiście bardzo niepa-
triotyczne. Mam na myśli czy-
tanie. Ale trudno, nie mam wyj-
ścia. Już nie mogę słuchać tego
przedwyborczego pierdolenia.

– W każdym razie premier
postanowił przemówić do ludu
językiem, którym w jego opinii
mówi lud, i ogłosił, że „krowa,
która dużo ryczy, mało mleka
daje”. Mówił to o ministrze
Ziobrze, co przywodzi mi na my-
śli, że opozycja powinna natych-
miast złożyć wniosek o wotum
nieufności dla Ziobry. Odwołać
go nie odwołają, ale posłuchać,
jak Morawiecki z trybuny opo-
wiada, jakim Zbysiu jest świet-
nym ministrem sprawiedliwości
– bezcenne...

– Chybabym nawet włączyła
telewizor.

– Na koniec: bardzo martwię się
o prezydenta Bidena. Brak porozu-
mienia w sprawie podniesienia
limitu długu publicznego w USA
może doprowadzić do czegoś, co
się nazywa „zamknięciem rządu”.
To nieomal kosztowało Billa Clin-
tona prezydenturę.

– Gospodarka mu się wywaliła?

– Znacznie gorzej. Otóż za-
mknięcie rządu – *government
shutdown* – to taka sytuacja, w któ-
rej rząd nie ma kasy, więc mówi
urzędnikom, żeby nie przychodzi-
li do pracy, bo nie może im zapła-
cić. W 1995 roku trwało to 7 dni,
od 14 do 20 października. Obsada
Białego Domu zmalała ze zwy-
kłych 430 osób do 90. I w zwią-
zku z tym, zamiast na urzędnikach
z pensjami, administracja opierała
się na pracy stażystów, którzy ro-
bia za darmo. W ten sposób Mo-
nica Lewinsky trafiła do biura
Leona Panetty, szefa personelu.
I tam poznał ją Clinton...

– Wiesz co? Myślę, że prezy-
dentowi Bidenowi nic nie grozi
w tym zakresie.

– Ejdzystka.

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 249

